



MEDYK BIAŁOSTOCKI



MIESIĘCZNIK BIAŁOSTOCKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ

www.amb.edu.pl

NR 11(34)

BIAŁYSTOK LISTOPAD 2005 R.

ISSN 1643-3734

Pierwsi

Absolwenci AMB

1955 r.

Czytaj na str. 5

Na zdjęciu

Krystyna Sztuczko

(Furmanowa po mężu - od red.)

i Marian Furman



Po bolesnym porodzie.
Otwarcie Szpitalnego Oddziału Ratunkowego

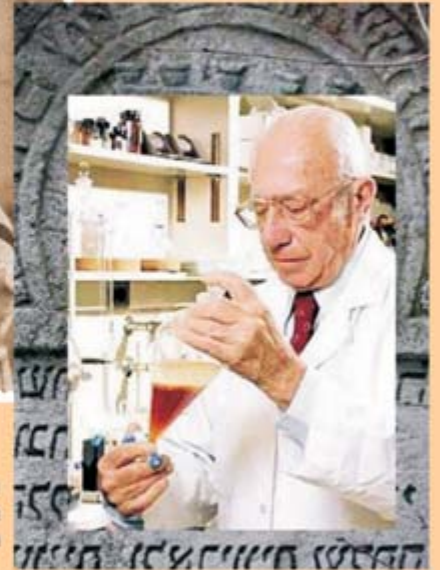


Kult Marszałka Piłsudskiego

W numerze



Polski Instytut Badań Mózgu w Wilnie



Leo Sternbach – odkrywca valium



Odnowienie



dyplomów lekarskich z 1955 roku



SPIS TREŚCI

Od redaktora	str. 3
Pierwsi absolwenci Wydziału Lekarskiego AMB.	
Wystąpienie JM. Rektora AMB, prof. Jana Górskiego	str. 4
Rozmowa miesiąca	
Przodownicy Nauki	str. 5
Serenissima Alma Mater Białostocensis	str. 9
Herkulesi w białych fartuchach	str. 10
Pięć lat białostockiej Akademii	str. 12
Absolwenci wspominają	str. 13
Sprawiedliwości nie stało się zadość	str. 16
Pierwszy raz na Wydziale Farmaceutycznym	str. 18
Bez „paliwa” ani rusz	str. 19
Psychiatryczny słownik metaforyczny	
MANIA	str. 20
Temida i Eskulap	
Eutanazja oraz pomoc w popełnieniu samobójstwa (cz. II)	str. 21
Z historii nauk farmaceutycznych	
Leo Sternbach – odkrywca valium	str. 22
Miasta naszego regionu	
Miasto wielkiej żywotności	str. 23
400 słów	
O potrzebie latania	str. 25
Polski Instytut Badań Mózgu w Wilnie	str. 26
Kult Marszałka	str. 30
Listopadowe refleksje	str. 31
Rośliny w Biblii	
Sen Nabuchodonozora	str. 33
Sekrety dziupli	
Kowalik akrobata	str. 34
„Małe opowieści” w galerii na Bojarach	str. 34
Wydarzenia i aktualności	str. 35
Młody Medyk	str. 37

 **OD REDAKTORA**



W listopadzie przeżyliśmy uroczystość, jakiej w naszym regionie nie było i już nie będzie (to słowa wzięte z okolicznościowego przemówienia rektora). Równo 50 lat temu mury naszej uczelni opuścili pierwsi absolwenci. W małżeństwie taka rocznica nazywa się złotymi godami i zwykle zaznaczona jest ceremonią odnowienia ślubu. Na uczelni została potraktowana równie wzniosłe. Na uroczystym posiedzeniu Senatu rektor i dziekan celebrowali odnowienie przysięgi lekarskiej z wręczeniem dostojnym jubilatam, przygotowanych na tę chwilę, specjalnych dyplomów. Medyk zastosował konwencję baśniową i próbował czarodziejskim wehikułem przenieść się wraz z jubilatami 50 lat wstecz. Chcieliśmy po prostu wraz z nimi powspominać tamte czasy. Stąd też w bieżącym numerze nasi Czytelnicy znajdą dużo wspomnień i, jakże cennych, starych fotografii. Ze wspomnień i starych fotografii wynurzył się obraz bynajmniej nie baśniowy. Skreślenia z listy studentów, walka o miejsce na uczelni i możliwość studiowania, brak podstawowych podręczników, wypalone mury pałacu Branickich, koszarowe warunki bytowania (kilkudziesięciu studentów w jednej wspólnej sali w „akademiku”). Wakacje spędzane na akcjach żniwnych, zgodnie z zasadą pracownicy państwowych gospodarstw rolnych do sanatoriów, studenci do żniw. A dookoła.... bezwzględne działania безпеki. Echo tych ostatnich dochodzi do nas w postaci koszmarnych wspomnień utrwalonych w reportażu Agnieszki Kamińskiej, zamieszczonym na łamach bieżącego numeru. Tę listę niedogodności można by prawdopodobnie mnożyć w nieskończoność. A przecież... na uroczystościach jubileuszowych spotkaliśmy ludzi wprawdzie starszych wiekiem, ale pełnych humoru i werwy (dawno tak się nie wytańczyłem, jak na spotkaniu z jubilatami). A ze starych fotografii... sprzed pół wieku spoglądają na nas ci sami ludzie – wówczas młodzi, pełni nadziei i zapału, uśmiechnięci. Tacy jak chociażby ta atrakcyjna para ze zdjęcia zamieszczonego na okładce. Spowici szarfami z napisem Przodownik Nauki – to przecież nikt inny, jak młody Furman, późniejszy profesor i kierownik Kliniki Chirurgii Klatki Piersiowej ze swoją koleżanką z roku – Krysia Sztuczko. Wkrótce – los tak chciał – Furmanową po mężu. Bo, proszę Państwa, życie ma swoje prawa i kieruje się swoją logiką.

Materiały do numeru przyjmujemy do dn. 10 każdego miesiąca.

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski
 Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz: Krzysztof Worowski
 Sekretarz redakcji: Danuta Ślósarska
 Członkowie: Alina Midro, Wiktor Łaszewicz, Ilona Lengiewicz, Anna Worowska, Adam Hermanowicz, Joanna Jasielczuk,
 Współpracownicy: Jan Pietruski, Wojciech Dębek, Beata Kaftańska, Marek Kamiński (USA)
 Dział studencki: Paweł Szambora, Maria Stepaniuk, Anna Maksymiuk, Emilia Sobolewska, Walentyn Pankiewicz
 Skład komputerowy: Marzena Szleszyńska
 Strona internetowa: Andrzej Bortacki

Druk: Zakład Poligraficzny **ABIS**
 15-227 Białystok, ul. Zwierzyniecka 72, tel. 0 695 487 014

Adres redakcji:

Biblioteka Główna Akademii Medycznej
 15-089 Białystok 8,
 ul. Kilińskiego 1,
 tel. (085) 748 54 85 (Danuta Ślósarska)
 e-mail: medyk@amb.edu.pl
 http://www.amb.edu.pl

Adres redakcji studenckiej:

Siedziba organizacji studenckich, DS1
 ul. Akademicka 3; tel (85) 748 58 13

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Pierwsi Absolwenci Wydziału Lekarskiego AMB *Anno Domini 1955*



*Wystąpienie JM.
Rektora AMB,
prof. Jana Górskiego*

Uczestniczymy w uroczystości jakiej jeszcze nie było w naszej uczelni ani też w regionie. Uroczystości takiej już nie będzie, gdyż może mieć miejsce tylko raz. Celem dzisiejszego, nadzwyczajnego posiedzenia Senatu jest uhonorowanie tych, którzy jako pierwsi, przed 50 laty, otrzymali w naszej uczelni dyplomy lekarza. Witam więc niezmiernie serdecznie i z prawdziwym wzruszeniem obecnych tu absolwentów tego rocznika. Rangę dzisiejszego wydarzenia podkreśla obecność dostojnych Gości. (...)

Pierwsza inauguracja w naszej uczelni odbyła się 2 października 1950 roku. Indeksy wręczono 164 studentom. Czasy były takie jakie były. Brakowało podręczników, sal, pieniędzy, niemal wszystkiego, może z wyjątkiem zapału. Studenci byli w różnym wieku i z różnym doświadczeniem życiowym, tak wojennym jak też powojennym. Niektórzy zrezygnowali z powodów rodzinnych inni zdrowotnych, a jeszcze inni nie podając powodu. Dziesięciu studentów usunięto wkrótce po inauguracji z powodów politycznych. Dwóch, a mianowicie późniejszego profesora Mariana Furmana i docenta Zdzisława Korfela reaktywowano, pierwszego po interwencji I sekretarza KW w Lublinie, drugiego po interwencji prezydenta Bolesława Bieruta. Dyplomy otrzymało 108 osób. Dziesięć pierwszych dyplomów wręczył Minister Zdrowia Jerzy Sztachelski. Było to pięć dyplomów czerwonych i pięć zwykłych. Tych pierwszych dziesięciu absolwentów miało prawo wyboru miejsca pracy. Pozostali otrzymali nakazy pracy. A zapotrzebowanie na pracę, wręcz orkę lekarzy, było ogromne. Kraj, a zwłaszcza nasz region, był niezmiernie zapóźniony w rozwoju opieki zdrowotnej. Tak pod względem infrastruktury jak też niewyobrażalnego obecnie braku lekarzy. Przyznać też trzeba, że warunki sanitarne, bytowe, a także stosunek do chorób wielu współobywateli były dalekie od dzisiejszych. Wysoka śmiertelność dzieci, gruźlica i inne schorzenia były codzienną rzeczywistością. To Państwo, nasi pierwsi absolwenci, wystawialiście

świadectwo swojej Alma Mater. Według powszechnej opinii było to świadectwo z czerwonym paskiem. Trudno zapewne policzyć ilu ludzi uratowaliście od śmierci, ilu ludziom przywróciliście zdrowie i radość życia. Na Waszych oczach powstawały nowe szpitale i przychodnie. Do pracy przychodzili nowi absolwenci. Zmieniały się techniki diagnostyczne i metody leczenia. Nigdy dotychczas medycyna nie uległa tak daleko idącym zmianom, jak w czasie Waszego życia zawodowego. Zapewne będziecie zdziwieni gdy powiem, że współtworzyliście te zmiany. Zapewne dzisiaj, gdy patrzycie wstecz na okoliczności i warunki w jakich przyszło Wam rozpoczynać pracę zawodową cieszyć się z tych zmian. Zapewne uważacie, że robiliście to co do Was należało, to co dyktowało sumienie, powołanie, odpowiedzialność i etyka lekarza. Ale winniście mieć również świadomość, że Wam, pierwszemu rocznikowi przypadła w udziale misja. Misja, jakiej nie mógł mieć już żaden następny rocznik. Przecieraliście drogi zatrudnienia i szkolenia. Byliście często pierwszymi lekarzami na znacznych obszarach i dla wielu tysięcy ludzi. To Was następni absolwenci pytali: co, gdzie, jak, kiedy? Jesteśmy winni Wam głęboką wdzięczność za wszystko co uczyniliście dla pacjentów i młodszych kolegów. Za wszystko co uczyniliście dla rozwoju ochrony zdrowia tutaj i w całym kraju. Było Was 108. Dzisiaj obecnych jest 41. Czterdziestu sześciu odeszło na zawsze, inni nie mogli przybyć. Uczcijmy – przez powstanie – pamięć Waszych Kolegów i Nauczycieli, którzy już odeszli.

Drodzy Absolwenci

Wznowione dyplomy lekarza, które za chwilę otrzymacie są właśnie wyrazem naszej wdzięczności, szacunku i uznania. Dziękując za Waszą pracę życzymy długich lat życia w zdrowiu fizycznym i psychicznym, zadowolenia z dnia codziennego, radości z rozwoju medycyny, z rozwoju Alma Mater, z rozwoju Ojczyzny. ■



Przodownicy Nauki

Lata studiów i początki pracy wspominają
dr **Krystyna Furman** i prof. **Marian Furman**,

absolwenci pierwszego rocznika AMB.

Rozmowę poprowadziła Danuta Ślósarska.

Krystyna Furman: To nieprawda, że każdy jest kowalem swojego losu. Wiele rzeczy dzieje się w życiu przypadkowo. W czasie, gdy ja zdawałam maturę obowiązywał w kraju plan sześcioletni. Zakładał on, między innymi, szybkie przygotowanie kadr do pracy w przemyśle i szkolnictwie. Uczyłam się bardzo dobrze, dlatego zostałam przez szkołę skierowana do Łodzi na chemię. Pojechałam tam, zdałam egzaminy, ale w tym czasie rozchorowała się moja mama. Byłam potrzebna w domu. W dodatkowym terminie, w nowo otwartej Akademii Medycznej w Białymstoku, przystąpiłam do egzaminów wstępnych na medycynę.

Marian Furman: Egzaminy żony były gdzieś na przełomie września, października. Ja zdawałam we wcześniejszym, lipcowym terminie. Podczas egzaminów wstępnych na uczelnię pisało się, między innymi, wypracowanie.

KF. Nawet pamiętam jak brzmiał temat na który pisałam. Był bardzo

literacki: „Czy doktor Judym może być wzorem lekarza współczesnego?”

MF. Ja pisałem o służbie zdrowia w Związku Radzieckim, a na rozmowie kwalifikacyjnej zapytano mnie dlaczego Piłsudski nie zasługuje na przydomek socjalista? Ojej, czego to ja nie naopowiadałem (śmiech). Tak naprawdę to podczas tej rozmowy sprawdzano głównie papiery, pytano o rodzeństwo, rodzinę, czy ktoś z bliskich nie przebywa za granicą. Większość ukrywała prawdę, kłamała.

KF. Ja miałam ciotkę w Anglii, której się wyrzekłam (śmiech). W kwestionariuszu osobowym, w rubryce czy ktoś z rodziny przebywa za granicą napisałam „nie”. Rodzice Hieronima Wondołowskiego, kolegi spod Łomży, mieli czterdziestohektarowe gospodarstwo, a on napisał, że tylko czterohektarowe. Został wyrzucony, bo był synem kułaka. Krysia Afanasjew, taka ładna i sympatyczna dziewczyna, na swoje nie-

szczęście była córką granatowego policjanta. Komisja zadecydowała o usunięciu jej ze studiów.

MF. Podobnie jak żona i wielu innych, ja też w swoim życiorysie nieźle nakręciłem. Nie przyznałem się, że mój brat jest w seminarium duchownym. Wiedziałem, że jak ujawnię ten fakt to nie dostanę się na uczelnię. I stało się to, czego się obawiałem z tych stu sześćdziesięciu osób, które przyjęto na studia dziesięć skreślono – między innymi mnie. Dowiedziałem się o tym dopiero 2 października, gdy przyjechałem do Białegostoku. Koledzy, ci tak zwani trzymający władzę, powiedzieli mi, że rano mam zgłosić się do rektora. To była koszmar na noc! O siódmej rano byłem już przed pałacem. Rektora spotkałem na przechadzce. Usłyszałem: „Kolego mam dla pana przykre wiadomości. Jest pan skreślony z listy studentów” Powiedział to bez żadnych emocji, bez współczucia, tak jak przekazuje się informację urzędową. Rektor podkreślił, że nie jest to jego decyzja lecz decyzja władz, które uznały mnie za element „niedojrzały politycznie”. Wtedy nie wie- →

działem, że w podobnej sytuacji był Zdzisiek Korfel. Z tej dziesiątki tylko nam obu po interwencjach i wyjaśnieniach pozwolono wrócić na studia.

KF. Pierwsze lata na studiach to była pełna ideologia. Wśród nas była grupa młodzieży, która stanowiła tzw. aktyw. Byli działacze ZMP (Związek Młodzieży Polskiej – od red.) i współpracownicy UB (Urząd Bezpieczeństwa – od red.). Trzeba było uważać na donosicieli. Ja nie byłam w ZMP, bo mnie tam nie chciano. Dyskwalifikowało mnie za dobre pochodzenie społeczne. Mój ojciec był kierownikiem Urzędu Skarbowego w Białymstoku. Przyznam jednak, że wówczas byłam nawet przekonana do socjalizmu. Uważałam, że jest to system sprawiedliwy. Drogę do nauki miał otwartą prawie każdy. Problemem dla nas studiujących był przede wszystkim brak książek, bo o skryptach wtedy nawet nikt nie marzył. Mąż jakimś cudem zdobył w swoich stronach, w Białej Podlaskiej, „Anatomię” Bochenka. Dzielił więc książkę na kartki i pożyczał nam kolejno na kilka godzin. I to nas do siebie zbliżyło. Gdy jestem zła na męża, to wypominam mu, że wszystkiemu winien jest Bochenek, że to przez tego pana zostałam jego żoną.

MF. Żona w czasie studiów dokarmiła mnie, na zajęcia przynosiła



Fot. Krystyna Sztuczko (Furmanowa) i Marian Furman.



Od lewej: Zdzisław Korfel, Witold Wróblewski, Marian Furman.

zawsze dodatkowe kanapki. Pamiętam też, że chodziliśmy na zupy z wkładką (wkładkę stanowiły np. kielbasa lub kotlet pływające w zupie – od red.), które otrzymywali pracujący przy odbudowie pałacu robotnicy. Uczyliśmy się w domu rodzinnym mojej żony, bo były tam znacznie lepsze warunki. Ja mieszkałam w akademiku, a właściwie tylko tam nocowałam. Akademik mieścił się na trzecim piętrze, w tym budynku w którym dzisiaj znajduje się anatomia. W trzydziestoosobowej sali spaliśmy na siennikach. Działacze mieli lepsze warunki,

mieli do dyspozycji pokoje dwu-trzyosobowe.

KF. Wykłady mieliśmy na Sali Kolumnowej w lewym, już odremontowanym skrzydle pałacu. Reszta pałacu była spalona. Studenci musieli pomagać w pracach porządkowych, odgruzowywaniu, sprzątaniu parku. Wykorzystywano nas także do politycznej roboty. Organizowano nam tzw. „białe niedziele”, które polegały na tym, że wysyłano nas do różnych wsi, po to, abyśmy namawiali chłopów do zakładania spółdzielni produkcyjnych.

MF. Dawano nam gotowe referaty, które trzeba było tam przeczytać. Pamiętam, że kiedyś wieziono nas takim samochodem z plandeką, potem podjechała furmanka, którą ja – jako ten wyznaczony – w towarzystwie człowieka z karabinem pojechałam hen, hen daleko na wieś. Nie umiem powiedzieć nawet gdzie to było. Pamiętam, że tamtejszy sołtys biegał po wsi i namawiał ludzi, aby przyszli na spotkanie, bo przyjechał prelegent i ma ich uświadaczać. Przeczytałem referat o wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną (śmiech) i wróciłem do Białegostoku.

KF. Latem jeździliśmy na akcje żniwne. Zbieraliśmy snopki z pól, bo nie miał kto tego robić. Pracownicy PGR-ów byli na urlojach. Jesienią natomiast zbieraliśmy ziemniaki. Braliśmy udział we wszystkich państwowych manifestacjach. Przyznam, że bardzo lubiłam



Fot. Przewodnicy nauki – studenci wraz z prof. W. Sławińskim.

1 Maja, bo było tak odświętnie, można było coś dobrego kupić w sklepach, a na półkach nawet pojawiały się owoce cytrusowe. W pochodzie, w pierwszym rzędzie, szli zawsze najlepsi studenci. Z szarfami „Przodownik Nauki” szłam też ja i mój mąż, chociaż tak naprawdę to ja uczyłam się lepiej od niego.

MF. No, przecież ja też nie oblewałam?

KF. A egzamin z medycyny sądowej?

MF. Oblanie egzaminu u prof. Byrdy należało nawet do dobrego tonu. Rzadko kto zdawał go w pierwszym podejściu. Profesor zapytała mnie: „Jak rozpozna pan nasienne plamy?” Zamurowało mnie. „Do widzenia – powiedziała – spotkamy się jeszcze raz”, i przegoniła mnie. Do dziś pamiętam ten jej uśmieszek. Żona zdała ten egzamin, bo miała więcej czasu na naukę. Mężczyźni, w ramach służby wojskowej, odbywali przez miesiąc ćwiczenia na poligonie. Miałem i tak szczęście, bo egzamin zdałem w następnym podejściu. Byli tacy co zdawali osiem razy (śmiech).

KF. Profesorowie imponowali nam wiedzą i postawą moralną. Profesor Kielanowski był takim prawdziwym Europejczykiem. Mówił piękną polszczyzną, przed zajęciami robił nam testy z literatury i muzyki. Lubił z nami rozmawiać, był naszym przyjacielem. Dzisiaj studenci widują rektora tylko na uroczystościach.

MF. Bardzo lubiliśmy też profesora Sławińskiego, na którego wołaliśmy „Dziadek”. Cała bieda z profesorem była taka, że robił egzaminy o piątej rano. Profesor, w miejscu gdzie kończyło się ogrodzenie pałacu, za mostkiem, założył ogród botaniczny. Rosły w nim przeróżne rośliny i chwasty. Takich egzotycznych roślin nie było nigdzie w Polsce.

KF. Uczyli nas wspaniali profesorowie: Soszka, Musiatowicz, Buluk. Ten ostatni miał ogromną umiejętność kierowania pracami naukowymi, wiele osób zawdzięcza mu rozpoczęcie kariery naukowej m.in. mój mąż. Mnie też profesor proponował pracę w swoim zakładzie, ale odmówiłam. Bardziej interesowała mnie medycyna praktyczna. Może źle zrobiłam?

MF. Prawo wyboru miejsca pracy mieli tylko ci, którzy otrzymali dziesięć pierwszych dyplomów. Wśród nich byli i dobrzy, i spryciarze. Było ich pół na pół. My nie należeliśmy do tych sprytnych, zależało nam na tym, aby dobrze zdać egzaminy, a nie szybko. Nasze dyplomy mają ciekawe i, moim zdaniem, szczęśliwe numery: 22/55 i 33/55.

KF. Człowiekowi wydaje się, że jak ma dyplom to już świat do niego należy, ale tak naprawdę to dopiero zaczyna uczyć się tej prawdziwej medycyny. Miejsc pracy po wojnie było mnóstwo, ale przyznawała je specjalna komisja. Tendencja była taka, aby lekarzy kierować do wiejskich ośrodków. Bardzo chciałam zostać w Białymstoku, tym bardziej że byliśmy już małżeństwem, tu była moja rodzina, a poza tym musiałam się



Fot. Czas wypełniała nam nauka.



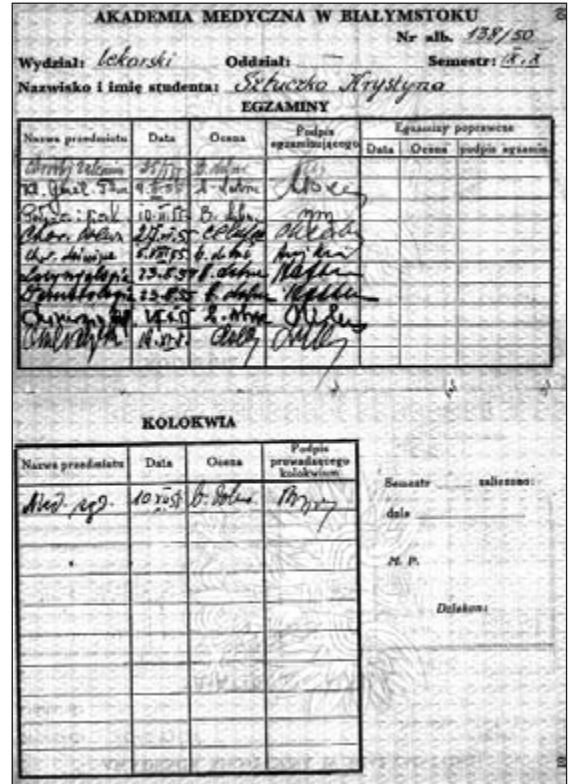
Fot. Akcja żniwna.



Fot. Pracownicy PGR-ów na wczasy, studenci na pola.

opiekować mamą. Dostałam nakaz pracy do Zakładu Mikrobiologii, którym kierował prof. Legeżyński. Profesor był trudnym człowiekiem. Wszystkich podejrzewał o sabotaż, toteż nic dziwnego, że ludzie od niego odchodzili. W zakładzie pracowałam w godzinach od 12 do 18, a rano chodziłam jako wolontariusz do Kliniki Chorób Wewnętrznych, kierowanej przez prof. Chlebowskiego. Po półtora roku zostałam tam już zatrudniona na cały etat. Z profesorem Legeżyńskim, jako jedna z nielicznych, rozstałam się w zgodzie.





Fot. Indeks Krystyny Furman.



MF. Mnie zaproponowano pracę asystenta w Studium Wojskowym. Nie było to moim marzeniem, bo myślałem o kontakcie z chorym, o specjalizacji z chirurgii. Kariera naukowa w ogóle nie była mi w głowie. Studium Wojskowe mieściło się na trzecim piętrze, w gmachu, w którym obecnie jest farmakologia. Pracowałem mi się tam bardzo dobrze i sympatycznie. Gdy była robiona zrzutka na pół litra to wiadomo było, że trzeba się dorzucić. Kierownikiem studium był bardzo przyzwoity człowiek, pułkownik Marian Kilar, oficer Armii Kościuszkowskiej, uczestnik walk pod Lenino. Wiedząc o tym, że interesuje mnie chirurgia zlecił mi wykłady z chirurgii polowej, udzielania pomocy na polu walki. Nie bardzo miałem o tym pojęcie, musiałem uczyć się z opracowań dotyczących radzieckiej służby zdrowia (śmiech). Pewnego razu płk Kilar powiedział: „Kolego, mnie kolegi tak szkoda” i zasugerował mi, że powinien zwrócić się do prof. Oleńskiego z prośbą o umożliwienie mi pracy w jego klinice. Zaczęło się od wolontariatu i tak u prof. Oleńskiego przepracowałem osiem lat. Takich chirurgów jak Profesor już dzisiaj nie ma. To był świetny diagnosta, który nawet bez badań dodatkowych wiedział, co choremu dolega. Był także doskonałym operatorem, z bardzo szerokim zakresem umiejętności.

KF. Ówczesni lekarze widzieli chorego jako całość i naprawdę zależało im, aby pomóc pacjentowi. Nie było tej tendencji, która widoczna jest dzisiaj: czy mi się to opłaca i co ja z tego będę miał? Nie było takiej gonitwy za pieniędzmi, takiej korupcji. Pamiętam, że profesor Chlebowski – człowiek kryształowy – na samo słowo „protekcja” dostawał białej gorączki. Nawet żonie, chorej na stwardnienie rozsiane, która leżała w jego klinice nie pozwolił na przyniesienie radia, czy nawet własnej koszuli nocnej. Była traktowana jak inni. Pamiętam, że kiedy jedna z naszych koleżanek przyjęła od pacjenta małą palmę, profesor natychmiast kazał oddać kwiatka.

MF. Zarabialiśmy niewiele i żyliśmy skromnie, tak po proletariacku (śmiech).

KF. Właściwie się niczego nie dorobiliśmy. Mamy trzypokojowe mieszkanie, skromnie urządzone, działkę pracowniczą, na której rosną kwiaty, chociaż mąż wołałby widzieć tam ogórki. Aaa... był jeszcze przez jakiś czas polonez, ale krótko, bo był bezużyteczny. Mąż cały czas spędzał w klinice, a samochód stał w garażu.

MF. Jak większość ludzi z tamtego okresu byliśmy mało przedsiębiorczy i nie bardzo umieliśmy dbać o swoje interesy.

KF. Dzisiaj mamy całkiem inne społeczeństwo, zmieniło się wszystko począwszy od kościoła, poprzez urzędników, sądownictwo, a na lekarzach kończąc. Teraz czasami wstyd powiedzieć w towarzystwie, że się jest lekarzem.

Serenissima Alma Mater Bialostocensis

Przemówienie prof. **Jerzego Jakowickiego**



W dniu dzisiejszym, w pięćdziesięciolecie rozpoczęcia studiów lekarskich i w półwiecze uzyskania dyplomów lekarskich przybyliśmy do naszej Alma Mater, aby złożyć Jej hołd i zdać sprawozdanie z naszej działalności zawodowej. Została nas grupa niewielka, ale sądzę, że mamy prawo wystąpić tu w imieniu naszych Kolegów, którzy z różnych, najczęściej zdrowotnych powodów nie mogli tu przybyć, także w imieniu Tych, którzy już odeszli od nas na zawsze...

Spółeczność nasza skonsolidowała się po pierwszym roku studiów, gdy z jednej strony ziarno zostało oddzielone od plew, a także gdy opuścili nasze grono wspaniali Koledzy wracając do swych rodzinnych stron, do dziś z wdzięcznością wspominając uczelnię, która otworzyła im świat wiedzy. W ciągu następnych lat, co dziś możemy retrospektywnie potwierdzić, staliśmy się monolitem powstałym z mgławicy młodzieży różniących się charakterami, poglądami politycznymi, wiekiem, pochodzeniem, przeżyciami wojennymi. Tę zyczliwość, przyjaźnię, lojalność i pamięć pielęgnujemy w sobie do dzisiaj.

Jak wspominamy swoje lata studenckie odbyte w całości w okresie socrealizmu? Dlaczego nie staliśmy się słuchaczami szarego instytutu medycznego? Dlaczego możemy

powiedzieć, że mieliśmy szczęście odbyć studia uniwersyteckie? Odpowiedź na to jest następująca:

Ona *Magistra nostra* Akademia Medyczna w Białymstoku otrzymała wiano wspaniałe – perłę architektury barokowej o nietkniętych przez rozwój miasta założeniach architektonicznych. Sądzę, że jest to jedna z najpiękniejszych siedzib uniwersyteckich w Polsce, a może i na świecie. My, pierwsi lekarze opuszczający Jej mury nie byliśmy pierwszymi absolwentami – poprzedzali nas w XVII wieku słuchacze Wojskowej Szkoły Inżynierii i Budownictwa powołanej przez Jana Klemensa Branickiego. Tu rozpoczęło się współczesne położnictwo jako Instytut Akuszerii dr Jakuba Feliksa Michaelisa... i jak tu nie wierzyć w „*genius loci*”...

Oni – nasi Nauczyciele! Było ich wielu, ale chcę wspomnieć o tych, którzy jako pierwsi wprowadzili na zawite ścieżki medycyny: Rektor profesor Tadeusz Kielanowski! Wspaniały lekarz, humanista, esteta, organizator, wielki wizjoner, akademik, Europejczyk – napisano o Nim wiele stron, wiele publikacji, wiele wspomnień... a my? Myśmy Go kochali! Profesor Witold Sławiński – wspaniały naukowiec i człowiek dał nam wspaniałą, legendarną nieodłączną część tradycji akademickiej – anegdota o profesorach. A dla uczelni uratował wspaniałe założenia ogrodowo-parkowe skreślone ręką twórcy ogrodów wersalskich André Le Nôtre; profesor Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski, którego młodzieńcza sylwetka i wiek upewniały nas, szczególnie kilkudziesięcioosobową grupę pracującą w zakładach teoretycznych, że w naszych teczkach nosimy buławę akademicką, profesor Tadeusz Czystohorski, który pomimo dolegliwego schorzenia stawiał się w Białymstoku aby odkrywać przed nami jakże dziś potężną wiedzę biochemiczną; profesor Józef Biborski przynoszący nam okrusz tradycji Wszechnicy krakowskiej czy Profesor Aleksander Obuchowski reprezentant białostoczan, którzy włączyli się do tworzenia Akademii.

W tym dniu dla nas szczególnie uroczystym mamy zaszczyt złożyć Ci Akademio sprawozdanie z naszej trwającej pół wieku działalności zawodowej:

- zawsze byliśmy dumni z naszego rodowodu akademickiego szcząc się nim,
- codzienną żmudną pracą dokładaliśmy cegiełkę w budowie Twego prestiżu w kraju a także zagranicą,
- w postępowaniu obcy był nam nepotyzm czy protekcjonizm,
- nie zdobyliśmy fortun ale również żadne z nas nie było pseudobohaterem afer korupcyjnych i skandali począwszy od najskromniejszego lekarza lecznictwa otwartego, po sprawujących wysokie godności akademickie czy urzędującego w gabinetach ministerialnych,
- oddawaliśmy zawsze wyrazy najwyższego szacunku i pamięci naszych nauczycieli i zachowaliśmy trwale przyjaźnię i zyczliwość we własnym gronie.

Za to wspaniałe wiano, rzetelną wiedzę medyczną, głęboki humanizm, i co w owych czasach było skrywane – żarliwy patriotyzm, chcemy Ci nasza Akademio podziękować skromnym bukietem kwiatów złożonych na ręce Jego Magnificencji Rektora. Z głębi serc naszych życzymy *nostra Alma Matris bonum, felix, faustum, fortunatumque ad multos annos sit!* ■

Herkulesi



Siedzą: Tadeusz Kostiukow, Hanna Kostiukow, Jerzy Jakowicki, Krystyna Furman, Irena Wykusz, Henryka Siemaszko (jej mąż), Włodzimierz Karpowicz, Tadeusz Januszko, Krystyna Ledzińska, Maria Prokopiak, Halina Stefańska, Mieczysław Doroszko, Leszek Ogorzał
Stoja, I rząd: Tadeusz Jakisz, Alicja Dębniak, Lucjanna Kryńska, Janina Roszkowska, Irena Lewicka, Maria Zajko, Halina Szulkowska, Mieczysław Rukał, Alina Kiercel, Alicja Wiśniewska, Tadeusz Szelachowski, Zdzisław Raczkowski, Tamara Jelisiejew,
II rząd: Jan Litwińczuk, Janina Kozłowska, Tomasz Karwowski, Teresa Kurowska, Marian Furman, Zdzisław Korfel, Remigiusz Skrabeliński, Kazimierz Odyniec, Józef Kuźmiński, Ryszard Kinałski, Zdzisław Bujnowski

Tak zatytułował swoją książkę wydaną w 1955r. Jerzy Stawiński, pisząc o pierwszych studentach i absolwentach Akademii Medycznej w Białymstoku. Po pięciu latach studiów (1950-1955) 106 pierwszych lekarzy wykształconych w nowo utworzonej Akademii Medycznej w Białymstoku rozpoczęło swoją odpowiedzialną, ciężką, ale wdzięczną pracę dla ratowania życia człowieka. Zahartowani wojną, przyzwyczajeni do spartańskich warunków bytowania byliśmy silni, twardzi, wytrzymali i odważni – „Herkulesy”.

Część naszych kolegów poświęciła się pracy naukowej. Rozpoczęli ją już w trakcie studiów jako asystenci w zakładach i w klinikach. Część rozjechała się po miasteczkach i wsiach województwa, by tam organizować od podstaw opiekę lekarską. Pierwsze ich kroki były bardzo trudne. Niejednokrotnie „pod górę, po kamieniach i pod wiatr”. Inni pozostali w Białymstoku. Powiększona kadra lekarska umożliwiła chorym łatwiejszy i szybszy dostęp do opieki medycznej. Był to bowiem czas, gdzie wszelkie choroby, a przede wszystkim gruźlica zbierały obfite żniwo, zarówno wśród dzieci jak i wśród dorosłych. By-

„...Dziekiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze
 Ten młody zdusi centaury, piekłu ofiary wydrze...”

– „Herkulesy”

liśmy szczęśliwi, pacjenci kochali nas i szanowali. Założyliśmy rodziny, urodziły się nam dzieci. Minęło 50 lat – pół wieku trudnej, odpowiedzialnej, ale wdzięcznej pracy lekarza.

Dwudziestego października 2005 roku święciliśmy nasz Jubileusz. Pierwszy w historii Akademii Medycznej w



Fot. Prof. Józef Musiatowicz.

Białymstoku jubileusz odnowienia dyplomów lekarskich po 50 latach pracy. Po Mszy Świętej w Małym Kościele przy Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, odprawionej w intencji zmarłych profesorów i kolegów oraz pomyślności jubilatów, spotkaliśmy się w Aula Magna pałacu Branickich – siedzibie Akademii Medycznej – na oficjalnych uroczystościach jubileuszu. Wrażenie ogromne, bo rzeczywiście nie można odmówić uroku pięknie odrestaurowanej Auli. Przed nami na podwyższeniu JM. Rektor prof. J. Górski i Wysoki Senat Akademicki. Wprowadzono sztandar Akademii, a chór akademicki odśpiewał „Gaude Mater Polonia”. Uroczystość zaszczytli swoją obecnością hierarchowie kościoła katolickiego i prawosławnego oraz najwyższe władze województwa i miasta Białystok. Popłynęły słowa uznania dla jubilatów za ich trudną i odpowiedzialną pracę oraz życzenia zdrowia i sił na dalsze lata →

w białych fartuchach

życia. Jubilatów wręczono kwiaty. Były piękne!

Z uwagą i wzruszeniem wysłuchaliśmy przemówienia JM. Rektora;

– *To Państwo, nasi pierwsi absolwenci, wystawialiście świadectwo swojej Alma Mater. Według powszechnej opinii było to świadectwo z czerwonym paskiem. Trudno zapewne policzyć ilu ludzi uratowaliście od śmierci, ilu ludziom przywróciliście zdrowie i radość życia.*

Ponownie złożyliśmy przysięgę Hipokratesa. Z rąk prof. dr. hab. Roberta Flisiaka – dziekana Wydziału Lekarskiego otrzymaliśmy Dyplomy Jubileuszowe, a buława rektorska ponownie spoczęła na naszym ramieniu. Gdy chór akademicki odśpiewał „Plurimos annos” niejednemu z nas łza wzruszenia zabłysła w oku.

Na zakończenie w imieniu jubilatów głos zabrał Jerzy Jakowicki. Powiedział między innymi:

W dniu dzisiejszym, w pięćdziesięciolecie rozpoczęcia studiów lekarskich i w półwiecze uzyskania dyplomów lekarskich przybyliśmy do naszej Alma Mater, aby złożyć Jej hołd i zdać sprawozdanie z naszej działalności zawodowej.

Jeszcze „Gaudeamus” w wykonaniu chóru akademii medycznej, jeszcze wspólne zdjęcie i tym akcentem zamknął się nasz najpiękniejszy okres życia i pracy zawodowej – pół wieku.

Wieczorem uczestniczyliśmy we wspólnej kolacji w restauracji „Branicki”. Wieczór ten zaszczylił swoją obecnością JM. Rektor prof. Jan Górski. Dziesięć lat temu, również jako rektor AMB, był na naszym wieczorze zorganizowanym z okazji spotkania po 40-u latach. Wówczas obiecał nam, że przyjdzie na nasz jubileusz i dotrzymał słowa. Bardzo gorąco i serdecznie dziękujemy!

Gościliśmy również obecnego dziekana Wydziału Lekarskiego prof. dr. hab. Roberta Flisiaka. Na studia medyczne został przyjęty przez naszą koleżankę Tamarę Jelisiejew, która w tym czasie pełniła obowiązki dziekana. Na uroczystości siedzieli obok siebie i wspominali minione lata.

U prof. dr. hab. Józefa Musiatowicza 50 lat temu zdawaliśmy egzamin praktyczny z położnictwa i ginekologii. Teraz też był razem z nami. Wszystkiego najlepszego Panie Profesorze!

Był również z nami prof. dr. hab. Lech Chyczewski, który jako rzecznik AMB twardo broni dobrego imienia naszej uczelni. Wytrwałości Panie Profesorze w tej walce!

Sentyment do pierwszych absolwentów prof. dr. hab. Jan Stasiewicz, prezes Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku, przejął od swego ojca prof. Witolda Stasiewicza, który był naszym wykładowcą. Dziękujemy serdecznie za przybycie na nasze uroczystości. Dziękujemy również za zorganizowanie nam wycieczki do Turośni Kościelnej. Zwiedziliśmy tam ośrodek rekreacyjno-szkoleniowy OIL-u, w którym trwają jeszcze prace wykończeniowe oraz gotowy do zamieszkania Dom Lekarza Seniora. Obiekt ten jest chyba najpiękniejszy w Polsce. Kto wie, czy nie spotkamy się tu jako jego mieszkańcy.

Kilka wspólnych zdjęć, wspólna piosenka „Upływa szybko życie” i nadszedł czas pożegnania.

Teresa Kurowska

– pierwsza absolwentka Wydz. Lekarskiego AMB.



Fot. Prof. Lech Chyczewski, prof. Robert Flisiak i pierwsza absolwentka prof. Tamara Jelisiejew.



Fot. Dr Jan Litwińczuk namaszczany berłem rektorskim przez urzędującego rektora prof. dr. hab. Jana Górskiego.



Fot. Prof. Tadeusz Januszko odbiera odnowiony dyplom lekarski z rąk prof. Roberta Flisiaka – dziekana.

Przed 50 laty białostocka prasa pisała...

Pięć lat białostockiej Akademii

108 młodych lekarzy idzie w świat

artykuł archiwalny

Gmach teatru im. A. Węgierki gościł 22 bm. niecodzienną publiczność. Sala widowiskowa przepełniona była do ostatniego miejsca. Zebrali się w niej przedstawiciele władz miejskich, służby zdrowia, lekarze białostoccy i studenci Akademii Medycznej, tej Akademii, która obchodziła właśnie pierwszą w dziejach ziemi białostockiej uroczystość wręczenia dyplomów lekarskich, młodym adeptom wiedzy medycznej oraz inaugurację nowego roku szkolnego 1955/56.

Za stołami przydzielonymi zasiadli członkowie Senatu Akademickiego oraz licznie przybyli na tę uroczystość goście, z Ministrem Zdrowia Jerzym Sztachelskim, kierownikiem Wydziału Socjalnego KC PRPR – Legomskim,

**NOWY ROK AKADEMICKI
OTWARTY**

W krótkich, treściwych słowach przedstawił rektor Legeżyński założenia programu nauczania w nowym roku akademickim.

– Od pierwszego wykładu, od pierwszego ćwiczenia – mówił rektor – zwracać będziemy baczną uwagę na wpojenie w studentów zasad etyki lekarskiej, o których wypaczeniu dochodzą do nas jeszcze niestety alarmujące wieści. Zwrócimy też uwagę na stałe podnoszenie kwalifikacji kadr naukowych, będziemy się usilnie starać o coraz szerszy rozwój naszych klinik.

Po apelu do młodzieży, by sumiennie pracowała i dołożyła wszelkich starań, aby studia swe ukończyć w terminie, rektor oświadczył: „Rok akademicki 1955/56 ogłaszam za otwarty”.

Do prezydium zbliżają się wyróżnieni studenci I roku, najmłodszy wychowanek Akademii, którzy po raz pierwszy przestąpili jej progi. Następuje immatrykulacja. Dziewczęta w białych bluzkach i młodzi chłopcy w ciemnych garniturach drżącymi ze wzruszenia głosami powtarzają: „Ja, student Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, sumiennie wypełniać będę swe obowiązki, uczynię wszystko, aby w przepisany termin ukończyć studia, będę strzec godności studenta”.

Pięć lat białostockiej Akademii

108 młodych lekarzy idzie w świat

Gmach teatru im. A. Węgierki gościł 22 bm. niecodzienną publiczność. Sala widowiskowa przepełniona była do ostatniego miejsca. Zebrali się w niej przedstawiciele władz miejskich, służby zdrowia, lekarze białostoccy i studenci Akademii Medycznej, tej Akademii, która obchodziła właśnie pierwszą w dziejach ziemi białostockiej uroczystość wręczenia dyplomów lekarskich, młodym adeptom wiedzy medycznej oraz inaugurację nowego roku szkolnego 1955/56.

Za stołami przydzielonymi zasiadli członkowie Senatu Akademickiego oraz licznie przybyli na tę uroczystość goście, z Ministrem Zdrowia Jerzym Sztachelskim, kierownikiem Wydziału Socjalnego KC PZPR – Legomskim, przewodniczącym Prezydium WRN – Józefem Szczęśniakiem i sekretarzem KW PZPR – Janem Jabłońskim na czele. Dźwięki Hymnu Narodowego obwieszczają początek uroczystości. Otwarcia posiedzenia Senatu dokonał rektor prof. dr. med. Stanisław Legeżyński. Entuzjastycznie powitano podjętą na wniosek Senatu uchwałę o nadaniu białostockiej Akademii imienia Juliana Marchlewskiego.

**NOWY ROK AKADEMICKI
OTWARTY**

W krótkich, treściwych słowach przedstawił rektor Legeżyński założenia programu nauczania w nowym roku akademickim.

– Od pierwszego wykładu, od pierwszego ćwiczenia – mówi rektor – zwracać będziemy baczną uwagę na wpojenie w studentów zasad etyki lekarskiej, o których wypaczeniu dochodzą do nas jeszcze niestety alarmujące wieści. Zwrócimy też uwagę na stałe podnoszenie kwalifikacji kadr naukowych, będziemy się usilnie starać o coraz szerszy rozwój naszych klinik.

Po apelu do młodzieży, by sumiennie pracowała i dołożyła wszelkich starań, aby studia swe ukończyć w terminie, rektor oświadczył: „Rok akademicki 1955/56 ogłaszam za otwarty”.

Do prezydium zbliżają się wyróżnieni studenci I roku, najmłodszy wychowanek Akademii, którzy po raz pierwszy przestąpili jej progi. Następuje immatrykulacja. Dziewczęta w

białych bluzkach i młodzi chłopcy w ciemnych garniturach drżącymi ze wzruszenia głosami powtarzają: „Ja, student Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, sumiennie wypełniać będę swe obowiązki, uczynię wszystko, aby w przepisany termin ukończyć studia, będę strzec godności studenta”.

NIE GORSZA OD INNYCH

Przy mównicy stałe witany owacyjnie Minister Jerzy Sztachelski, poseł Białostocczyzny, opiekun Akademii.

– Po raz pierwszy pójdą w teren lekarze, wykształceni w murach białostockiej Akademii, lekarze w większości pochodzący z tych stron, ściśle związani z tym zakątkiem kraju – powiedział m. in.

Mówiąc o rozwoju naszej wyższej uczelni, podkreślił, że takich zakładów naukowych jakie ona posiada, nie powstydziła by się z pewnością żadna Akademia Medyczna w kraju, nawet bardzo dobrze wyposażona. Zwracając się do absolwentów Minister Sztachelski powiedział:

W imieniu całej służby zdrowia życię Wam, byście spełnili te nadzieje, które wiąże z Wszszą pracą cała ludność woj. białostockiego.

Z kolei zabrał głos Józef Szczęśniak, przewodniczący Prezydium WRN, który powiedział m. in.: „Trochę o zdrowie prostego człowieka jest sprawą najświętszą. Te słowa niech będą myślą przewodnią Waszej pracy”.

**JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH
INWESTYJCJI**

Sprawozdanie z 5-letniej działalności AM, wygłosił były rektor prof. dr. Tadeusz Kielanowski, który wskazał m. in., że białostocka AM była jedną z największych inwestycji służby zdrowia w Polsce 5-letnim. Między innymi zbudowano w jej murach, to w wyniku i wzniesli robotników, którzy wręczali sztandar Dzierżyńskiemu, Marchlewskiemu i Kłobuckiemu, to przeprowadzono chłopów pańszczyźnianych. Dalej mówił, że w Akademii studuje obecnie 1.083 studentów i 108 absolwentów opuszcza jej mury, zatrudnia ona 29 samodzielnych i 187 pomocniczych pracowników naukowych, 6 lektorów języków obcych, oraz 155 pracowników administracyjnych. Że do pracy w AM zgłosili się ochotniczo profesorowie z Lublina, Poznania, Łodzi, Gdańska i Wrocławia. Podkreślił wielkie zasłu-

gi „ludzi Akademii”: zasiepcy rektora do spraw administracyjnych Ignacego Popowskiego, kwestora Bajkowskiego, dr. med. Witolda Stawiewicza, dr. med. Bronisława Jodkowskiego, dr. Włodzimierza Zankiewicza, dr. Antoniego Toloczki i innych.

Następnie zwrócił się do absolwentów.

– Nadeszła chwila pożegnania, nie przynosi ona nam jednak smutku, lecz radość. Zadnemu z Was nie grozi bezrobocie. Tam, gdzie pójdziecie będziecie budować w ministerstwie swą Akademię, z którą nie zerwiecie na pewno kontaktu.

Przy dźwięku werbli wchodzi na salę delegacja harcerzy drużyny im. Eweliny Sawickiej ze Szkoły Cwiżeń. Mają harcerze w czerwonych chustach życzą gromkim „Czujaj” powodzenia w pracy swym starszym kolegom studentom i młodym lekarzom.

SŁUBOWANIE

I wreszcie nadszedł moment kulminacyjny, 10 absolwentów powtarza za dziekanem słowa przyrzeczenia lekarskiego:

„Przyrzekam i ślubuję, że przez całe życie będę spełniał prawem nałożone obowiązki lekarza, że niczym nie spłanię godności lekarskiej...”

Wśród wyróżnionych padają nazwiska Emilii Krochmalskiej, Tamary Samkowiec, Ireny Galasińskiej, Jerzego Jakowickiego, Lucjana Wiśniewskiego i innych, którzy ukończyli studia z odznaczeniem.

W imieniu absolwentów, Emilia Krochmalska serdecznie podziękowała profesorom za opiekę i wskazówki udzielane w czasie studiów.

Na zakończenie uroczystości, były rektor Tadeusz Kielanowski został udekorowany Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta.

(Kp)

ŻYCIE BIAŁOSTOCKIE - 31.X.1955r.

Szmary akademickie

O stolówce Akademii Medycznej pisaliśmy już niejednokrotnie w naszej gazecie. Wiele rzeczy zmieniło się na lepsze, poprawiły się posiłki i wszystko byłoby w porządku, gdyby... nie te kolejki. W porze obiadowej trzeba stać w takiej kolejce godzinie, a czasem i dłużej po obiad, tracąc tak cenny czas.

A można by przeleźć i te...

względnie dwa okienka do wydawania obiadów, tym bardziej, że możliwości ku temu są.

Nareszcie ku wielkiej radości studentów, została otwarta w Domu Akademickim świetlica. W dniach 29 i 30 października po raz pierwszy w nowej świetlicy został wyświetlony film. Zyczyć sobie tylko należy, aby wy-

przewodniczącym prezydium WRN – Józefem Szczęśniakiem i sekretarzem KW PZPR – Janem Jabłońskim na czele. Dźwięki Hymnu Narodowego obwieszczają początek uroczystości. Otwarcia posiedzenia Senatu dokonał rektor prof. dr. hab. Stanisław Legeżyński. Entuzjastycznie powitano podjętą na wniosek Senatu uchwałę o nadaniu białostockiej Akademii imienia Juliana Marchlewskiego.

Przy mównicy stałe witany owacyjnie Minister Jerzy Sztachelski, poseł Białostocczyzny, opiekun Akademii.

– Po raz pierwszy pójdą w teren lekarze, wykształceni w murach białostockiej Akademii, lekarze w większości pochodzący z tych stron, ściśle związani z tym zakątkiem kraju – powiedział m. in.

Mówiąc o rozwoju naszej wyższej uczelni, podkreślił, że takich zakładów naukowych jakie ona posiada, nie powstydziła by się z pewnością żadna Akademia Medyczna w

**NIE GORSZA OD
INNYCH**

kraju, nawet bardzo dobrze wyposażona. Zwracając się do absolwentów Minister Sztachelski powiedział:

– W imieniu całej służby zdrowia życzę Wam, byście spełnili te nadzieje, które wiąże z Waszą pracą cała ludność woj. białostockiego.

Z kolei zabrał głos **Józef Szczęśniak**, przewodniczący Prezydium WRN, który powiedział m.in.: „**Troska o zdrowie prostego człowieka jest sprawą najświętszą. Te słowa niech będą myślą przewodnią Waszej pracy**”.

JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH INWESTYCJI

Sprawozdanie z 5-letniej działalności AM, wygłosił były rektor **prof. dr Tadeusz Kielanowski**, który wskazał m.in., że białostocka AM była jedną z największych inwestycji służby zdrowia w Planie 6-letnim. Młodzież zdobywająca wiedzę w jej murach, to wnukowie i wnuczki robotników, którzy wręczali sztandar Dzierżyńskiemu i Konowi, to prawnukowie chłopów pańszczyźnianych. Dalej mówił, że w Akademii studiuje obecnie 1.093 studentów i 108 absolwentów opuszcza jej mury, zatrudnia ona 29 samodzielnych i 187 pomocniczych pracowników naukowych, 6 lektorów języków obcych, oraz 156 pracowników administracyjnych. Że do pracy w AM zgłosili się ochotniczo profesorowie z Lublina, Poznania, Łodzi, Gdańska i Wrocławia. Podkreślił wielkie zasługi „ludzi Akademii”: **zastępcy rektora do spraw administracyjnych Ignacego Popowskiego, kwestora Bajkowskiego, dr med. Witolda Stawiewicza, dr med. Bronisława Jodkowskiego, dr Włodzimierza Zankiewicza, dr Antoniego Tołłoczki** i innych.

Następnie zwrócił się do absolwentów.

– Nadeszła chwila pożegnania, nie przynosi ona nam jednak smutku, lecz radość. Żadnemu z was nie grozi bezrobocie. Tam, gdzie pójdziecie będziecie budować w miniaturze swą Akademię, z którą nie zerwiecie na pewno kontaktu.

Przy dźwięku werbli wchodzi na salę delegacja harcerzy drużyny im. Eweliny Sawickiej ze Szkoły Ćwiczeń. Mali harcerze w czerwonych chustach życzą gromkim „Czuwaj” powodzenia w pracy swym starszym kolegom studentom i młodym lekarzom.

ŚLUBOWANIE

I wreszcie nadszedł moment kulminacyjny. 10 absolwentów powtarza za dziekanem słowa przyrzeczenia lekarskiego:

„Przyrzekam i ślubuję, że przez całe życie będę spełniał prawem nałożone obowiązki lekarza, że niczym nie splamię godności lekarskiej...”

Wśród wyróżnionych padają nazwiska **Emilii Krochmalskiej, Tamary Samkowicz, Ireny Gałasińskiej, Jerzego Jakowickiego, Lucjana Wiśniewskiego** i innych, którzy ukończyli studia z odznaczeniem.

W imieniu absolwentów, Emilia Krochmalska serdecznie podziękowała profesorom za opiekę i wskazówki udzielane w czasie studiów.

Na zakończenie uroczystości, były rektor **Tadeusz Kielanowski** został udekorowany **Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta**.

(kg)

Życie białostockie 25 X 1955 r.

Absolwenci

wspominają

Dr Alicja Dębniak-Słojewska



Denerwowała się pani przed dzisiajszym spotkaniem?

W moim wieku takie spotkania, które odbywają się po latach przeżywa się bardzo intensywnie. Dreszczyk emocji towarzyszył mi więc od samego rana. Martwiłam się czy aby wszystko dobrze wypadnie, czy będę dobrze wyglądać.

Dopadły mnie problemy typowe dla młodej dziewczyny (śmiech). Muszę przyznać, że nasza koleżanka Teresa Kurowska pięknie przygotowała dzisiejsze spotkanie, włożyła w to naprawdę mnóstwo pracy.

I można było dzięki temu powspominać?

Wszyscy tu obecni absolwenci jesteśmy wychowankami prof. Kielanowskiego, wspaniałego człowieka, któremu jako studenci bardzo wiele zawdzięczamy. Profesor bardzo nam pomagał, a miało to istotne znaczenie, ponieważ lata naszej nauki przypadły na bardzo trudne czasy. Brakowało pieniędzy, odpowiednich warunków lokalowych, kadry naukowej, podręczników. Pamiętam, że „Anatomię” Bochenka dzieliłiśmy na kartki i pożyczaliśmy sobie na dwie, trzy godziny w nocy. Potem w wielkim strachu zdawaliśmy egzamin u bardzo wymagającego prof. Rogalskiego.

Z takich nazwisk, które spędzały nam sen z oczu pamiętam jeszcze prof. Obuchowskiego – fizyka. Strasznie oblewał studentów. Postrach budziła również prof. Byrdy z medycyny sądowej. Na trzynaście osób średnio zaliczały u niej egzamin dwie osoby. Mnie też z koleżanką profesor odesłała, abyśmy się douczyły. Na szczęście nie wstawiła nam do indeksów oceny niedostatecznej. Żartowałyśmy sobie później, że o mało co przez te „zwłoki” nie skończyłybyśmy medycyny.

Po studiach została pani w Białymstoku?

Na stałe przeniosłam się tu dopiero w 2000 roku. Po studiach przez trzy lata pracowałam w szpitalu w Łomży, a resztę z czterdziestu dwóch lat pracy zawodowej zostawiłam w szpitalu w Kolnie. Przez ostatnie 25 lat pełniłam tam funkcję ordynatora oddziału dziecięcego. Był taki czas, kiedy byłam w tym szpitalu jedynym pediatrą. Braki kadrowe były potworne. Dzisiaj już tych problemów nie ma. W samej mojej najbliższej rodzinie jest wielu lekarzy: dwie córki, trzech zięciów, wnuczka i jej mąż. Wszyscy pokończyli białostocką Akademię Medyczną. Dwóch moich wnuków jest jeszcze jej studentami. Jestem szczęśliwą mamą, babcią i proszę mi wierzyć jestem z nich wszystkich bardzo dumna.

Prof. Jerzy Jakowicki



Medycyna była w moich genach. Jestem lekarzem w czwartym pokoleniu. Mój stryj Władysław Jakub Jakowicki był profesorem ginekologii. Wykładał na Uniwersytecie Stefana Batorego, a nawet przez pewien czas był jego rektorem. Dochował się znakomitych uczniów, wśród nich byli profesorowie: Kanigowski, Chlebowski, Oleński.

Wojnę spędziłem w Wilnie, ucząc się na tajnych kompletach. Jednym z moich nauczycieli był Antoni Gołubiew. Maturę zrobiłem w Białymstoku, w liceum przy ul. Fabrycznej, potem była białostocka Akademia Medyczna. Mam dyplom ukończenia studiów z numerem czwartym. Od drugiego roku studiów pracowałem jako asystent w Zakładzie Histologii, prowadziłem też koło studenckie. Ze względu na braki kadrowe wraz z kolegami, jeszcze jako studenci, dyżurowaliśmy w szpitalach, a nawet otrzymywaliśmy za to wynagrodzenie. Na ostatnim roku studiów podjąłem pracę w Klinice Ginekologii, którą kierował prof. Soszka. Następnie profesor powierzył mi kierownictwo Oddziału Ginekologicznego w Szpitalu w Bielsku-Białej. Tam poznałem swoją żonę, absolwentkę Akademii Medycznej w Warszawie.

Habilitowałem się gdy miałem 33 lata i była to jedna z najwcześniejszych habilitacji. Zabawne jest to, że nie mam świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, potem okazało się, że nie jestem doktorem habilitowanym, bo habilitację zrobiłem trzy miesiące przed wejściem ustawy o doktorach habilitowanych. Jako profesor bez szkoły podstawowej – bo tak to może wyglądać – doktoryzowałem 24 lekarzy, habilitowałem 11 osób, z czego ośmiu jest dziś profesorami, a pięciu z nich kierownikami klinik.

W 1961 roku kliniki ginekologiczne w Szczecinie i w Lublinie rozpięły konkurs na stanowisko kierownika. W tamtych czasach konkursy odbywały się nieco inaczej. Wszyscy kierownicy klinik w kraju dostawali pisemne zapytanie kogo widzą na proponowanym stanowisku. Zdobyłem najwięcej głosów i to bez żadnego kumoterstwa. Jako że urodziłem się w Pińsku, Polesie było mi bliższe niż Pomorze. W wieku 38 lat zacząłem kierować pełnoprofilową kliniką ginekologiczną. Moje przeniesienie do Lublina nie oznaczało jednak końca kontaktów z białostocką akademią. Byłem wielokrotnie recenzentem prac naukowych pisanych w tej uczelni, od wielu lat też przyjeżdżam tu na wszelkie uroczystości poświęcone bliskiej nam osobie i wielkiemu człowiekowi, prof. Tadeuszowi Kielanowskiemu. Myślę, że jemu zawdzięczamy to, że od tylu lat, my białostoccy absolwenci, trzymamy się razem. Należymy do tego grona lekarzy, którzy nie byli zamieszani w afery korupcyjne i o których nie można powiedzieć, że się dorobili. Tak nas wychowano i tak nas nauczono. Wprawdzie profesor Kielanowski na pierwszym wykładzie powiedział „obiecuję wam, że wszyscy będziecie mieli samochody”, to jednak zapomniał dodać, kiedy nam się to przydarzy.

Dr n. med. Zdzisław Korfel



Pochodzę z Hajnówki, tam ukończyłem z wyróżnieniem liceum ogólnokształcące i zdałem maturę. Średnia z uzyskanych ocen dała mi prawo studiowania na Akademii Medycznej w Białymstoku bez konieczności zdawania egzaminów wstępnych. Po przyjeździe na uczelnię dowiedziałem się jednak, że nie ma mnie na liście przyjętych. Ponieważ to

samo spotkało mojego kolegę ze szkoły – Marca, obaj, jako że byliśmy członkami partii, postanowiliśmy szukać ratunku u sekretarza partii. Pojechaliliśmy w związku z tym do Komitetu Miejskiego w Bielsku Podlaskim. Weszliśmy do sekretariatu i dyżurującej urzędniczce przedstawiliśmy problem. Do gabinetu towarzysza sekretarza wszedłem jako pierwszy.

– *Proszę wejść* – usłyszałem. *Nazwisko, imię!*
– *Zdzisław Korfel* – przedstawiłem się. *Chciałbym się dowiedzieć dlaczego mając dyplom upoważniający mnie do przyjęcia na studia bez egzaminów nie znalazłem się na liście przyjętych studentów?* – zapytałem.

– *Wy tu nie macie czego szukać Korfel* – skwitował krótko towarzysz sekretarz

– *Jak to towarzyszu sekretarzu? Jestem członkiem partii* – tłumaczyłem.

– *Wy tu mnie nie pytajcie, tylko się stąd zabierajcie* – usłyszałem w odpowiedzi. *Dla was nie ma miejsca na uczelni.*

Opuszczając gmach komitetu powiedziałem koledze Marcowi, że nic tu nie załatwimy, bo najprawdopodobniej któryś z kolegów szkolnych doniósł o naszej działalności w harcerstwie. Marzec uparł się, że on jeszcze spróbuje przekonać towarzysza sekretarza, powołał się na historię walk z okupantem swojej rodziny, na jej przynależność do PPS-u. Wrócił do komitetu, a ja poszedłem kupić coś do jedzenia. Po 15 minutach wróciłem do sekretariatu i pytam sekretarkę gdzie jest mój kolega.

– *Nikogo tu nie było* – odpowiedziała robiąc bardzo dziwną minę. Tłumaczyłem, że przecież przyszliśmy tu razem, a ona na to.

– *Widziałam tu tylko pana.*

Byłem coraz bardziej zdziwiony. Potem się okazało, że w gabinecie sekretarza Marzec podniósł głos i w związku z tym wyprowadzono go tylnymi drzwiami. Na studia go nie przyjęto. Mnie uratowała moja energiczna mama. Stwierdziła, że tej sprawy tak nie zostawi i 2 albo 3 października – nie pamiętam dokładnie – pojechaliliśmy do Warszawy do Komitetu Centralnego. Wprawdzie do tow. Bieruta nas nie wpuszczono, ale sprawą zajął się urzędnik z jego sekretariatu. Bardzo go zainteresowało dlaczego członek partii nie został przyjęty na studia. Obiecał, że zajmie się osobiście tą sprawą. Około 10 października okazało się, że należę do grona studentów Akademii Medycznej w Białymstoku.

Taka była moja historia.

oprac. Danuta Ślósarska

JEST TAKI DZIEŃ LISTOPADOWY

Cmentarna luna
kruchość życia przypomina.
Stoisz nad grobem,
w głowie myśl zadumana
o tym co przeszło
i chwili co jeszcze została.

Groby rozmyte,
prawie rozdeptane,
obok napuszonych betonów.
Mocarze w proch obróceni,
pośród "zwykłych ludzi"
z tą samą ziemią zmieszani.
Leżą,
czekają,
niepewni,
na swe zmartwychwstanie.

A ci co żyli
jak bezduszne kamienie,
bez serc,
bez uczuć,
za murem co ich oddzielił
od miłości,
od Boga?

Czy zmartwychwstana,
czy w pył obróceni,
pyłem zostaną?

Świecą grobowe lampiony,
ukwiecona płyta.
Myśl zadumana,
w modlitwie ugrzęzła.
Kim byli Ci,
co nad ich grobem stajesz?
Czy starczyło im czasu,
by zaświadczyć przed Bogiem?
Czy w sercach naszych
znaleźli schronienie?
Tak łatwo życie sprzedać tanio,
a tak trudno żyć godnie.

Marek Chyczewski
(Absolwent AMB).



*Listopad
to miesiąc
zadumy
nad tymi,
którzy
odeszli.*

Jednym z nich był nasz kolega Witallis Strączkowski. Wspaniały lekarz, mąż i ojciec. Cichy, spokojny, koleżeński i zakochany w nauce. Tak zapamiętali go koledzy z lat nauki w szkole średniej, tak zapamiętaliśmy Go my wszyscy z czasów wspólnych studiów w AMB w latach 1950-1955.

Pamiętamy jak z ogromną uwagą słuchał wykładów naszych profesorów, jak precyzyjnie wykonywał ćwiczenia laboratoryjne, aby niczego, co pogłębiłoby jego wiedzę, nie przeoczyć. Jako starosta roku interesował się każdym z nas. Pomagał rozwiązywać nurtujące nas problemy. Tworzył atmosferę przyjaźni i serdeczności, co w tamtych trudnych czasach było bardzo ważne i potrzebne. Ta nie wzajemnej przyjaźni przetrwała w nas do dziś.

W swojej pracy zawodowej zarówno w Zakładzie Fizjologii jak i w II Klinice Chorób Wewnętrznych, a następnie w Klinice Kardiologii starał się przekazywać studentom oraz pracującym z nim lekarzom (swoim następcom) całą wiedzę jaką posiadał. Uczył szacunku i serdecznego podejścia do pacjenta oraz dokładnego opracowania każdej jednostki chorobowej. Był dla nas wzorem. Wykształcił wielu specjalistów. Opracował wiele cennych publikacji. W piątym roku swojej pracy zawodowej uzyskał tytuł doktora nauk medycznych.

Był w trakcie kończenia pracy o dużym znaczeniu w dziedzinie kardiologii, gdy pęknięty tętniak tętnicy mózgowej przerwał Jego życie. Koledzy nie zdołali Go uratować.

Zmarł 30 kwietnia 1974 r. w wieku 43 lat i w przedniu habilitacji.

Koleżanki i koledzy ze wspólnych lat studiów

Sprawiedliwości NIE STAŁO SIĘ zadość

„Po koszmarze wojny uznałem za swój obowiązek tropić i oddawać w ręce sprawiedliwości wszystkich zbrodniarzy z tamtych czasów. To było moje posłannictwo” – powtarzał często Aleksander Omilianowicz, znany w okresie PRL-u pisarz-podróżnik. Dopiero po wielu latach wyszło na jaw, jak przewrotna była prawda ukryta w tych górnołotnych deklaracjach.

W 1946 roku 22-letni Omilianowicz zostaje kierownikiem sekcji do walki z bandytyzmem w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Suwałkach. Pod jego okiem funkcjonariusze UB wyłapują i odprowadzają na przesłuchania ukrywających się w lasach członków Armii Krajowej. Ci, którzy przeżyli takie spotkanie mają dość traumatyczne wspomnienia. Bezprawne zatrzymania, bicie, wymuszenia zeznań – zwykle nieprawdziwych lub mocno przesadzonych – to są metody, jakimi posługują się podwładni Aleksandra Omilianowicza. A z zeznań świadków wynika, że i sam kierownik sekcji nie wzbierał się przed pracą i sam chętnie dawał przykład sumiennego wykonywania obowiązków służbowych.

Liczył się efekt

W Instytucie Pamięci Narodowej w Białymstoku obejrzeć można tzw. tablicę poglądową funkcjonariuszy UB na Suwalszczyźnie. Jest wśród nich też zdjęcie Aleksandra Omilianowicza z czasów młodości. Z czarno-białej fotografii spogląda groźnie umundurowany, przystojny mężczyzna z pionową kreską między zmarszczonymi brwiami. Po latach jeden z ówczesnych wartowników w suwalskim UB wspomina, że Omilianowicz lubował się w wojskowych mundurach. Na co dzień nosił

żołnierski płaszcz niemal do kostek, oficerskie buty z cholewami, na oczach okulary typu „gogle”, a przy pasie zawsze przytroczony duży pistolet szturmowy z długą lufą. Ten rodzaj broni nie robi zbytnich szkód, jednak nie o strzelanie tu chodziło. Liczył się efekt wizualny. Wystarczy sobie wyobrazić prostego, niepiśmiennego chłopca, na którego podwórku zjawiała się tak wyglądająca postać... Z pewnością robiła kolosalne wrażenie.

„Po koszmarze wojny uznałem za swój obowiązek tropić i oddawać w ręce sprawiedliwości wszystkich zbrodniarzy z tamtych czasów. To było moje posłannictwo” – powtarzał często Aleksander Omilianowicz, znany w okresie PRL-u pisarz-podróżnik. Dopiero po wielu latach wyszło na jaw, jak przewrotna była prawda ukryta w tych górnołotnych deklaracjach.

W tym czasie we wsi Pobondzie pod Augustowem mieszkała wielodzietna rodzina państwa Bartników. Ojciec, Kazimierz Bartnik od dawna spędzał sen z powiek suwalskich ubeków. Jako dowódca miejscowej partyzantki był nieuchwytny. Nie pomagały zasadzki, obławę, obietnice wysokiej nagrody za głowę Ak-owca. Kazimierz Bartnik wciąż wymykał się funkcjonariuszom z rąk. Nie wyglądało to dobrze w przesyłanych wojewódzkim władzom raportach. A można się domyślać, jak bardzo młodemu, początkującemu kierowniko-

wi powiatowej jednostki UB zależało na awansie. Złapanie i wyeliminowanie szefa suwalskiego podziemia stało się więc dla niego sprawą najważniejszą.

Ostatecznie, by w jakikolwiek sposób pozbyć się problemu funkcjonariusze zaczęli co kilka dni nękać rodzinę Bartników rewizjami. Mieli nadzieję, że znużona ciągłymi obławami żona partyzanta z pięciorgiem dzieci w końcu opuści teren podległy Omilianowiczowi, a tym samym z okolicznych lasów wyniesie się też dowódca podziemnego oddziału.

Nachodzenie było bardzo regularne. Czasami zdarzało się, że niemal każdej nocy do drzwi Bartników stukali pracownicy UB. Zabierali wszystko. Doszło do tego, że w ich zagrodzie nie było nawet kubka, by spragnione dzieci mogły się napić mleka. A trzeba zdawać sobie sprawę, że w tamtych czasach głodu i braku środków do życia byle łyżka, garnek czy miska była na wagę złota. Tak samo jak każdy gram mięsa schowany na czarną godzinę, sweter czy kozuch. Ciągłe obławę pozbawiały rodzinę Bartników szans na normalne życie. Dzieci cierpiały głód i chłód. Żyły w ciągłym strachu. Dienne i nocne rewizje kończyły się bowiem poszturchiwaniem matki i wyzwiskami pod adresem Bartników. Biedną kobietę z gromadką dzieci wspomagali jak mogli sąsiedzi, ale też tylko w wielkiej tajemnicy! UB wiedziało wszystko. Wszędzie miało swoich szpiegów.

Pewnej czwartkowej nocy, tuż po Świętach Bożego Narodzenia 1947 roku Stanisława Bartnik usłyszała: *„Słuchaj bladzio, jak się stąd do soboty nie wyniesiecie to przyjdziem i spalim. Z duszą i ciałem”* – opowiada po ponad 60-ciu latach Romuald Bartnik, syn Kazimierza i Stanisławy.. *Matka poszła po radę do dobrych ludzi. Najpierw co robić spytała wójta. Ten nie wiedział, kazał iść do księdza. Ksiądz powiedział, że nie pomoże, bo nie umie. Wszyscy się bali. W końcu wspólnie uradzili, że matka z najstarszą siostrą ukryją się u sąsiadów, a w domu zostanie czwórka najmłodszych. Dzieciom przecież krzywdy nie zrobią...*

Najstarsze z dzieci, które miało spędzić najbliższą noc w domu miało 11 lat. Najmłodsze – chłopczyk, nie skończyło jeszcze roku. Jedynek świadek tej tragicznej historii, który nie boi się o niej opowiadać, Romuald Bartnik, miał wtedy siedem lat.

To było na Trzech Króli – ciągnie →

swą opowieść stary, schorowany człowiek. *Przyszli. Tak jak zapowiadali. Matka, zgodnie z tym, co uradziła ze starszymi z wioski, wyszła tej nocy z domu. Nie bili nas. Kazali spać tylko. Powiedzieli: macie tu widno i ciepło. My wam zrobim jeszcze widniej i cieplej. Idźcie spać, dzieci.*

Funkcjonariusze ostatni raz przeszukali dom. Zabrali mięso, którego resztki zostały jeszcze po świętach, sprawdzili czy dzieci są w łóżkach. Jeden z nich wszedł na strych. Nie znalazł tam nic ciekawego. Ot, trochę drewna na opał, w kącie kupka siana... Przystanął na chwilę. Zapalił papierosa...

Trudno teraz wyrokować, czy zawałał się rzucając pod nogi nie ugaszoną zapalniczkę czy też – bez większych emocji – wykonał po prostu rozkaz. W końcu był przedstawicielem jedynej wówczas legalnej władzy. Mógł zrobić, co chciał i nie musiał się z tego tłumaczyć.

I my byśmy się spalili, ale zaczął płakać najmłodszy z braci, bo zrobiło się mu gorąco. Pierwsza obudziła się siostra. Palili się dach kryty gontem. Kawalki ze strychu wpadały już do domu. Siostra zaczęła krzyżeć: Romek, Romek! My się palimy! Co robić?! Uciekać czy mówić pacierze?! Na pacierze nie było już czasu. Chwyciłem na ręce najmłodszego braciszka, siostra średniego i rzuciliśmy się do drzwi. Nie ustąpiły. Były podparte od zewnątrz! Pobiegłem do kuchni po siekiere. Ale tam był już ogień. Mimo to chwyciłem ją i wróciłem do drzwi. Nie czułem bólu, nie myślałem o nim... Zamachnąłem się... uderzyłem kilka razy i... stał się cud! Drzwi odskoczyły! Uciekaliśmy do sąsiadów po grudach lodu boso, na popalonych nogach, w zwęglonych koszulach, poranieni... Wszyscy w okolicy widzieli ogień. Nikt nie przybiegł na pomoc... Taki był w ludziach strach! – mówi pan Romuald.

Sąsiadka, do której dobiegły dzieci owinęła je kocem i przenocowała. Rano przyjechał konno oddział WOP. Jego komendant, porucznik Dragon przeszukał pogorzelnisko, przesłuchiwał sąsiadów.

Nie znalazłem kości. Gdzie są dzieci? – wspomina słowa porucznika Romuald Bartnik. Gdybym wiedział, że „ubowcy” to zrobią już dawno wybiłbym ich do nogi! – cytuje Bartnik. *To był dobry człowiek – dodaje od siebie. Miał do mieszkańców wioski ogromny żal i pretensje, że nikt nie przyszedł nam z*

pomocą.

O tym, że dzieci przeżyły pożar porucznik Dragon musiał zameldować w biurze UB. Wtedy, już oficjalnie, w wiosce zjawili się funkcjonariusze i zarządzili dochodzenie.

Powiedzieli, że to s...syn ojciec nas podpalił! Że to podziemie swoich chce wybić! – mówi Romuald Bartnik.

Od początku śledztwo prowadzone przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Suwałkach w '47 roku było nastawione na nie wykrycie sprawców – mówi prokurator z białostockiego oddziału IPN Tomasz Kamiński. Funkcjonariusze mieli tak zatrzeć ślady, by odsunąć wszelkie podejrzenia od wskazywanego już wówczas winnego tej zbrodni, czyli kierownika sekcji do walki z bandytyzmem Aleksandra Omilianowicza. Przesłuchiwana wtedy jako świadek córka Bartników była zastraszana, a jej zeznania przeinaczano bądź wcale nie były protokolowane. Dlatego w tej chwili stan dokumentów nie pozwala na postawienie komukolwiek konkretnych zarzutów. Ale archiwa jednoznacznie wskazują, że szef grupy UB, Aleksander Omilianowicz był w tym czasie w okolicy na akcji. Jednak nie mam wystarczających dowodów, aby go oskarżyć – dodaje prokurator Kamiński.

Ofiary i kat

Aleksander Omilianowicz, dziś 82-letni, nie pamięta, by kiedykolwiek na Suwalszczyźnie doszło do podpalenia czyjegoś domostwa.

Owszem – mówi – rewizje się zdarzały często. Przecież po wojnie zostało masę broni i trzeba ją było rekwirować. Ale nikt mi nie udowodnił, że kogoś śmiertelnie pobitem czy skrzywdziłem. Nie pamiętam jednak żadnych podpałów.

Ofiary i kat nigdy potem się nie spotkali. Romuald Bartnik jednak żyje nadzieją, że kiedyś spojrzy w oczy temu, który podłożył zapalniczkę.

Nie zabijałbym go. Chciałbym tylko zobaczyć tego człowieka... Chciałbym go tylko zobaczyć! I zapytać, co wtedy czuł?

Matka, która ukryła się u sąsiadów tej tragicznej nocy widziała przez okno jak płonie jej dom. Co czuła patrząc na potężniejący z każdą sekundą ogień? Czy próbowała się wyrwać zatrzymującym ją siłą gospodarzom i pobiec ratować swoje dzieci? A może stała bez czucia, bo wszystko w niej właśnie umarło? Stanisława Bartnik już nie od-

powie na te pytania. Zmarła na początku 2005 roku. Kilka lat wcześniej na raka mózgu odszedł jej mąż, Kazimierz. Pan Romuald wspomina, że w rozmowach nigdy nie wracali do wydarzeń z tamtej zimowej sobotniej nocy, w święto Trzech Króli 1947.

Ale choć od tego koszmaru minęło blisko 60 lat Romuald Bartnik wciąż jeszcze budzi się z krzykiem.

Wołam: O Jezu! O Jezu! Dlatego żona się czasem mnie boi.

Tamtejsza noc pozostawiła ślady nie tylko na duszach dzieci państwa Bartników, które przeżyły pożar. Pan Romuald ma co roku odnawiające się rany po oparzeniach, jest po wylewie. Siostra, która w tamtej tragicznej chwili zachowała spokój ratując od śmierci rodzeństwo – dziś jest prawie zupełnie sparaliżowaną staruszką. Całe życie zmagająca się z ciężką depresją. Nigdy się z niej nie wyleczyła. Pozostali dwaj bracia nie chcą rozmawiać na ten temat. Może nie pamiętają. A może nie chcą sobie czegoś przypadkiem przypomnieć...

Dodam, że cała rodzina zesłała się dopiero po wojnie. Zamieszkali pod Elkiem.

Śledztwo w sprawie podpalenia domu Bartników w Pobondziu IPN umorzył w 2005 roku. W tym przypadku Omilianowicz uniknął kary. Nie udało mu się to jednak w związku z innymi zarzutami, które przedstawili byłemu funkcjonariuszowi UB w Suwałkach prokuratorzy IPN. Udowodnili mu oni bicie, bezprawne zatrzymania i wymuszanie zeznań na co najmniej dziesięciu osobach. W kilku przypadkach na podstawie dokumentów, które sporządził podczas swojej pracy w UB zasądzone też kary śmierci. W 2005 r. Sąd Rejonowy w Suwałkach skazał Aleksandra Omilianowicza na cztery i pół roku więzienia za zbrodnie przeciwko ludzkości. Ten początkowo próbował uniknąć kary, ale ostatecznie we wrześniu 2005 stanął się w białostockim więzieniu. Wydaje się, że choć w części sprawiedliwości stało się zadość...!

W tej chwili prokuratorzy IPN przedstawili mu dwa nowe zarzuty. Wkrótce przeciwko zbrodniarzowi rozpocznie się kolejny proces.

Agnieszka Kamińska

(Autorka jest dziennikarką Polskiego Radia Białystok).

Pierwszy raz na Wydziale Farmaceutycznym

Wydział Farmaceutyczny AMB 21 marca 2005 roku uzyskał uprawnienia do habilitacji w zakresie nauk medycznych, dyscyplina – biologia medyczna. Już 14 czerwca 2005r. wszczęte zostały przewody habilitacyjne dr Haliny Gabryel-Porowskiej na podstawie dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej pt. „Ekspresja mucyny MUC1 w komórkach nowotworowych hodowanych in vitro i jej rola w adhezji do składników macierzy pozakomórkowej”, oraz dr Krystyny Pawlak na podstawie dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej pt. „Stres oksydacyjny a zmiany miażdżycowe u pacjentów z przewlekłą niewydolnością nerek”. Pierwsze posiedzenie Rady Wydziału poświęcone kolokwium habilitacyjnemu dr Haliny Gabryel-Porowskiej odbyło się 21.10.2005r. Recenzentami w przewodzie habilitacyjnym byli najwybitniejsi polscy biochemicy: prof. Janina Kwiatkowska-Korczak, kierownik senior Biochemii Lekarskiej Akademii Medycznej we Wrocławiu, osoba wielce zasłużona dla polskiej biochemii, kontynuatorka słynnej szkoły biochemii Jakuba Parnasa i lwowskich tradycji akademickich, członek honorowy Polskiego Towarzystwa Biochemicznego; prof. Julian Świerczyński, kierownik Katedry i Zakładu Biochemii Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Gdańsku, autorytet w zakresie biochemii, kontynuator szkoły biochemicznej prof. Włodzimierza Mozołowskiego oraz profesorowie Mariusz Żydowo i Edward Bańkowski, kierownik Zakładu Biochemii Lekarskiej naszej uczelni, jeden z najwybitniejszych polskich biochemików, doktor honoris causa Uniwersytetu w Reims we Francji.

Posiedzenie Rady Wydziału poświęcone kolokwium habilitacyjnemu dr Krystyny Pawlak odbyło się 27 X 2005r. Recenzentami w przewodzie habilitacyjnym byli: prof. Teresa Banaś, kierownik Katedry i Zakładu Biochemii Lekarskiej AM we Wrocławiu, kontynuatorka sławnej szkoły prof. Janiny Kwiatkowskiej-Korczak; prof. Andrzej Książek, kierownik Katedry i Kliniki Nefrologii AM w Lublinie, jeden z naj-

wybitniejszych polskich nefrologów, rektor Akademii Medycznej w Lublinie; prof. Elżbieta Skrzydlewska, kierownik Zakładu Chemii Nieorganicznej i Analitycznej, prodziekan Wydziału Farmaceutycznego naszej uczelni, osoba o ogromnym autorytecie z zakresu biochemii procesów oxydo-redukcyjnych. Dostojnym gościem Rady Wydziału Farmaceutycznego na tym posiedzeniu był prof. Michał Myśliwiec, kierownik Kliniki Nefrologii AMB, osoba wielce zasłużona dla polskiej nefrologii i naszego środowiska akademickiego.

Habilitanci uzyskali wysoką ocenę recenzentów i Rady Wydziału. Obydwa przewody habilitacyjne zakończyły się jednomyślnymi uchwałami o nadanie habilitantom stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk medycznych w zakresie biologii medycznej. Uchwała Rady Wydziału w obydwu sprawach wymaga jednak zatwierdzenia przez Centralną Komisję.

Uzyskanie przez Wydział Farmaceutyczny AMB uprawnień do habilitacji w zakresie biologii medycznej pozwoliło utworzyć na tym wydziale studia doktoranckie. W bieżącym roku akademickim przyjęto na studia doktoranckie na Wydziale Farmaceutycznym sześć kandydatów. Wzmacnia to strukturę organizacyjną i prestiż wydziału oraz świadczy o stałym jego rozwoju. Kolejnym celem działalności wydziału jest uzyskanie uprawnień do habilitacji w zakresie nauk farmaceutycznych. Niestety, procesów edukacyjnych nie sposób przyspieszyć. Na obecny sukces Wydziału Farmaceutycznego składa się wysiłek co najmniej dwóch pokoleń tytanów pracy naukowej i dydaktycznej, organizatorów, społeczników i wizjonerów. Z pewnością wiele marzeń pierwszego pokolenia Wydziału Farmaceutycznego spełniło się. Pragnę tym wszystkim naukowcom, organizatorom i wizjonerom serdecznie podziękować za dzisiejszy kształt Wydziału Farmaceutycznego AMB.

Jerzy A. Pałka

*(Autor jest prof. dr. hab.
– dziekanem Wydziału
Farmaceutycznego AMB).*

Etyka marketingu farmaceutycznego



Etyka marketingu farmaceutycznego była przedmiotem obrad X Jubileuszowej Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej, która odbyła się 16 listopada 2005 roku, w sali kongresowej hotelu Marriott w Warszawie.

Honorowymi patronami konferencji byli dziekani wydziałów farmaceutycznych akademii medycznych w Polsce. Obradom przewodniczyli: prof. dr hab. n. farm. Kazimierz Głowniak oraz prof. dr hab. n. farm. Maciej Pawłowski.

Głównym tematem konferencji była „Opieka farmaceutyczna w teorii i praktyce”. Zaproszeni goście przedstawili szereg wykładów, które ukazały jej główne aspekty. Ciekawe było porównanie nauczania przyszłych farmaceutów w różnych krajach Europy. Profesor dr hab. Benito del Castillo Garcia, dziekan Wydziału Farmaceutycznego w Madrycie oraz prof. dr Martin Schmitt, dyrektor Centrum Informacji o Lekach i Praktyki Farmaceutycznej w Berlinie, przedstawili nam swoje uwagi na temat wprowadzenia do programu nauczania na wydziałach farmaceutycznych UE przedmiotu „Opieka Farmaceutyczna”. Dzięki umożliwieniu uczestnictwa nam – studentom – mogliśmy zapoznać się z szeregiem nowości w dziedzinie tak nam bliskiej, a także mieliśmy okazję do wymiany poglądów z kolegami studiującymi na innych uczelniach w Polsce. Również rozmowa z profesorami z Hiszpanii czy Holandii pogłębiła naszą wiedzę o metodach kształcenia na tamtejszych akademii medycznych.

Poruszano także szereg innych problemów, na które jest narażony współczesny farmaceuta, począwszy od sprzedaży produktów leczniczych przez internet aż do dobrej praktyki edukacyjnej.

Na koniec odbyło się wręczenie ustanowionych przez „Czasopismo Aptekarskie” medali i tytułów m.in. Laurów Farmacji i Medycyny oraz dyplomów.

Konferencji towarzyszyła II Ogólnopolska Wystawa Grafiki i Malarstwa Krystyny Głowniak.

Magdalena Bruzgo



Bez „paliwa” ani rusz

Wywiad
z **Bogusławem Poniatowskim**
dyrektorem Samodzielnego Publicznego
Szpitala Klinicznego w Białymstoku.

Szpitalny Oddział Ratunkowy (SOR) powstawał bardzo długo, można nawet powiedzieć, że rodził się w bólach. Czy podobnie będzie wyglądało jego funkcjonowanie?

Absolutnie nie! Zakładamy, że będzie funkcjonował prawidłowo. Dużo zależy od kadry, a ta jest w pełni profesjonalna. Personel pielęgniarski i lekarze są specjalnie przeszkoleni. Poza tym lekarze posiadają przynajmniej jedną specjalizację II stopnia, a często mają dwie specjalizacje. Problemem mogą być finanse. Nawet najlepszy kierowca nie pojedzie najlepszym samochodem, kiedy nie ma paliwa.

Mamy więc oddział prawie jak z filmu „Ostry dyżur”, tylko czy będzie on równie sprawnie funkcjonował? Czy będzie zaplecze wszystkich specjalistów i czy zawsze będzie możliwe wykonanie specjalistycznych badań, np. tomografii komputerowej?

Jeśli chodzi o specjalistów zaplecze jest pełne. Zapewnimy pełnoprofilowe badanie pacjenta. W szpitalu zawsze są lekarze wszystkich specjalizacji. Pacjenci nie będą wożeni karetkami od jednego szpitala do drugiego, jak bywało to do tej pory. Część oddziałów już teraz pracuje w systemie ostrego dyżuru, np. kardiologia inwazyjna. Jeśli chodzi o bazę sprzętową to tomograf też czynny jest całą dobę. Jeszcze potrzeba trochę dobrych chęci i zmiany pewnych nawyków. W przyszłości powstanie system przywoławczy, który szczególnie cenny będzie w przypadku zdarzeń masowych. Będziemy wtedy w stanie sprowadzić odpowiednią ilość lekarzy i innego personelu. To musi funkcjonować! **Zawsze w naszym kraju problemem są pieniądze. Oddział powstał dużym nakładem finansowym, ale aby sprawnie funkcjonował wciąż potrzebne będą duże środki finansowe. Czy znajdują się w NFZ pieniądze na odpowiednią pracę oddziału?**



Fot. Rektor Jan Górski przecięciem wstęgi otwiera SOR.



Fot. Dyrektor Bogusław Poniatowski – gospodarz Szpitala i oddziału w trakcie ceremonii otwarcia.



Fot. Jedno z pomieszczeń SOR-u.

Aby złożyć ofertę kontraktu do NFZ każda jednostka musi być otwarta i przyjęta przez wszystkie wymagane instytucje. Tak też jest i w naszym przypadku. Formalności zostały dopełnione i w zasadzie czekamy tylko na pieniądze. Środki na funkcjonowanie w Funduszu są i na pewno będą w przyszłości, jako że jest to placówka bardzo nowoczesna, i z pewnością odpowiada wszelkim wymaganiom. Prawdopodobnie około połowy grudnia powinniśmy otrzymać pieniądze z Funduszu i wtedy SOR rozpocznie funkcjonowanie w rzeczywistości, a nie tylko na papierze. To już tylko formalności.

Newralgiczną kwestią są parkingi wokół PSK-a i SOR-u. Kłopoty ze znalezieniem miejsca mają nawet pracownicy. Jak rozwiązać ten problem pacjentom, którzy powinni mieć możliwość podjechania samochodem pod samo wejście?

Do SOR-u pacjenci będą trafiać zwykle przywiezieni przez pogotowie ratunkowe i nie widzę tu żadnego problemu. Pacjenci umówieni do szpitala planowo po prostu jadą pod Izbę Przyjęć, gdzie jest podjazd i stamtąd dalej są kierowani do odpowiednich miejsc w szpitalu.

Wymarzony, nowoczesny SOR powinien mieć możliwość szybkiego dostarczenia pacjenta do oddziału z terenu, a także dalszego przekazania pacjenta do wysokospecjalistycznych ośrodków na terenie kraju. Do tego jednak potrzebne jest lądowisko dla śmigłowca medycznego. Jakie są możliwości zorganizowania lądowiska z prawdziwego zdarzenia przy SPSK?

Koszt stworzenia takiego lądowiska to ok. 900 tys. złotych. Jako szpital nie dysponujemy takimi funduszami. Staramy się je cały czas pozyskać z zewnątrz. Musi to być ustalone z pogotowiem lotniczym i musi być odpowiedni projekt. Ten etap mamy już za sobą. Teraz to są procedury przetargowe, ale te można uruchomić dopiero jak będziemy mieli pieniądze. Niestety z tym jest ciężko. Złożyliśmy jeden program, ale został odrzucony. Teraz będziemy się starać o pieniądze ze ZPORR-u. Mam nadzieję, że się uda, a jeśli nie, to będziemy próbować gdzie indziej. Technicznie sama budowa lądowiska jest dużo prostsza niż Oddziału Ratunkowego, więc jak tylko zdobędziemy środki to na pewno nam się to uda.

Życzymy panu powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Adam Hermanowicz

MANIA



... mania to stan:
wzmózonego nastroju,
często z przecenianiem
swoich możliwości,
nadmierna aktywność
wyrażająca się np.
zawieraniem niestosownych
znajomości, skróceniem
snu, wielomównością ...

Andrzej
Czernikiewicz

Napisałem w tytule dużymi literami słowo MANIA, bo jeśli to ma być o prawdziwej manii to musi być ona wielkościowa. *À propos*, mania to jedno z dwu słów w języku polskim, które pisane tak samo (poza dużą albo małą literą na początku) ze względu na różną wymowę oznaczają coś innego – bo przecież *Mania* to zdrobnienie od *Marii* (jakie jest to drugie słowo – proszę o sprawdzenie na końcu tego tekstu). Mania, ta ze słownika psychiatrii, jest nawet przez psychiatrów rozumiana różnie – mówimy o kleptomanii, piromanii, czy też trichotillomanii, zaburzeniu polegającym na kompulsywnym wrywaniu włosów. Nas jednak interesuje mania jako zaburzenie afektywne, będące przeciwieństwem depresji. I tu jeszcze jedno *à propos* – mania w psychiatrii oznacza podwyższony nastrój i wzmózoną aktywność, nie oznacza zespołu urojeń prześladowczych. Za sformułowanie *mania prześladowcza* student dostaje szansę na jeszcze jeden egzamin z psychiatrii. A więc mania to stan: wzmózonego nastroju, często z przecenianiem swoich możliwości, nadmierna aktywność wyrażająca się np. zawieraniem niestosownych znajomości, skróceniem snu, wielomównością, czy też *oniomanią* (to ostatnie to skłonność do niepotrzebnych, dużych zakupów).

A teraz przyjrzymy się jak dziennikarze Gazety Wyborczej używają terminu **mania** w swoich tekstach. Na początek artykuł z Gazety Telewizyjnej zapowiadający nagrodzony Oskarem dokument „Super Size Me” (GW 7.10.05r). Autor artykułu Paweł Felis napisał „*Nade wszystko jednak ani McDonald's, ani mania „supersajzów”, ani panujące zwyczaje (jak organizowanie w McDonaldach – również w Polsce – urodzin dla czterolatków) do niczego mnie nie zmuszają*”. A więc akcja promocyjna polegająca na zachęcaniu do powiększenia porcji frytek to „mania supersajzów”. Hm, autor tego tekstu chyli czoło przed kreatywnością redaktora Felisa.

W dodatku białostockim do GW z dnia 10.10.05r. w recenzji książki czytamy „*I rzeczywiście, już kilkadziesiąt lat później chęć posiadania Orderu Orła Białego przez Pola-*

ków zaczynała mieć formę manii, w efekcie czego zasady jego przyznawania rozmieniały order powoli na drobne. Dziś już z odznaczeniem jest zupełnie inaczej – nadawane jest za znamienite zasługi cywilne i wojskowe (choć niektórzy jego posiadacze budzą wątpliwości)”. Moda na posiadanie owego Zasłużonego Orderu została nazwana manią – taką sobie niewinną manią w majestacie Rzeczypospolitej.

Ponieważ artykuł ten ukarze się po II turze wyborów na Prezydenta RP, dlatego też z lękiem serwuję manię przypisaną jednemu z kandydatów na to stanowisko (jak się okazało zwycięskiemu – dod. przez aut.). W GW z dnia 6.10.05r. w podrozdziale *Kaczyński źródłem prawa* czytamy „*Na razie Kaczyński jest tylko kandydatem na prezydenta, stąd przekazanie tego kodeksu może narazić go na zarzut manii wielkości. Nawet jednak jeśli prezydentem zostanie, to zgodnie z obowiązującą konstytucją nie ma prawa domagać się ministerialnych dymisji*”.

Tak więc kandydatowi Kaczyńskiemu przypisany jest jeden z atrybutów manii – postawa wielkościowa. Cóż redaktorze Wroński (autor artykułu) to chyba jednak nadużycie, może wynikające z mechanizmu projekcji (projekcja – mechanizm obronny polegający na przypisywaniu innym naszych cech i intencji).

Podobną wymowę ma artykuł nt. przyszłego koordynatora służb specjalnych pana Wassermana, o którym czytamy „*Prokurator Bogusława Marcinkowska, widząc, co się święci, przedłużyła śledztwo, by dogłębnie zbadać, czy istniała próba zamordowania Zbigniewa, Haliny i Wojciecha Wassermannów przez elektryka, który wadliwie podłączył kabelki do jacuzzi. Przedłużenie śledztwa jest dziś oczywiste, choć oczywiście to detal, że trwa ono już od 2003 roku. Ale to właśnie prokurator Wassermann musi w Polsce zmienić. Śledztwa podobne do tego powinny trwać krócej, kończyć się obszernymi, dobrze udowodnionymi aktami oskarżenia, skazaniem i osadzeniem. Pan Janusz Dobosz i jego pracownicy będą siedzieć w więzieniu. To dobrze. Polskie wanny, wanny prokuratorów z manią prześladowczą, muszą być czyste i bezpieczne, to będzie pierwszy wielki sukces na drodze odnowy*”. Uwagi może zabawne, ale użycie terminu błędne – mania to stan emocjonalny, a idee prześladowcze to stan zaburzeń zdolności do racjonalnego odbioru zachowań otoczenia, co zapewne nie dotyka prokuratorów.

O dziwo, z błędnym rozumieniem manii spotykamy się w artykule fachowym zamieszczonym w artykule nt. praw osób psychicznie chorych w Turcji (GW 29.09.05r) w którym czytamy na temat elektrowstrząsów „*Zdaniem autorów raportu zdecydowanie największym problemem jest nadużywanie terapii elektrowstrząsami. Choć jest ona praktykowana na świecie w leczeniu niektórych pacjentów, np. z manią samobójczą, od lat 50. nie stosuje się jej na Zachodzie bez znieczulenia czy środków uśmierzających ból. W Turcji przeprowadza się je „na żywo*”.

Znowu błąd – artykuł niby fachowy, a terminologia kolokwialana – powinno się raczej mówić o tendencjach czy myślach samobójczych.

Kolejny tekst i kolejny błąd – znowu mamy do →

czynienia z ubieraniem zwykłych represji i prześladowań w termin *mania prześladowcza*. W GW z dnia 5.09.05r. czytamy o aktualnej sytuacji na Białorusi (wyrażam głęboką nadzieję, że konsul tego sąsiedzkiego państwa nie czyta tekstów w *Medyku*) „*Nie wiem, jaką szkodę może wyrządzić gospodarcie białoruskiej biografia Wałęsy czy Havla albo program konferencji, z którego wynika tylko, kto po kim występował na konferencji w Gdańsku. Konfiskowanie takich materiałów pokazuje, jak głęboko w manii prześladowczej pogrążył się przywódca naszego kraju – mówi Lebedźka*”. Zamiast sformułować tezę o prześladowaniach za poglądy, autor artykułu łagodzi jego wymowę przez użycie terminu **mania**.

I na koniec znowu Gazeta Telewizyjna i jeszcze raz użycie terminu *mania* w odniesieniu do jednego z jej objawów. W artykule zachwalającym serial „*Gotowe na wszystko*” czytamy „*Mieszkancki Wisteria Lane to nie kury domowe, które zastanawiają się, jak związać koniec z końcem, co włożyć do gara i za co wystać dzieci do szkoły. Stać je na markowe ciuchy, fryzjera, kosmetyczkę, na wpadanie w manię zakupów, gdy humor nie dopisze, na rozbijanie się luksusowym samochodem po mieście*”.

A gdyby znać terminologię psychiatryczną należałoby by powiedzieć raczej o oniomanii (tendencja do nadmiernych zakupów).

Tak więc dziennikarze, jak można sądzić, nigdy nie widzieli osoby z manią i używają tego terminu jedynie w kolokwialnym i często niewłaściwym znaczeniu. A tyłu wspaniałych artystów, takich jak Van Gogh, czy Czajkowski cierpieć na manię.

W następnej części – jak rozumiemy na co dzień termin „urojenia”. Wyrażam jednocześnie nadzieję, że kolejny artykuł ukaże się pomimo powoływania się na nazwiska zasłużonych dla kraju osób – ja tylko cytuję!

Rozwiązanie zagadki z początku artykułu: to drugie słowo zmieniające swoje znaczenie przy innym akcentowaniu to: Dania i dania.

(Autor jest dr. hab.
– kierownikiem
Kliniki Psychiatrii AMB
i prof. Zakładu Logopedii
i Językoznawstwa UMCS)



Eutanazja



Marek Hermanowicz

oraz pomoc w popełnieniu samobójstwa (cz. II)

Pomoc w popełnieniu samobójstwa

W myśl art. 151 Kodeksu karnego, kto namową lub przez udzielenie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

W przypadku lekarzy wydaje się, iż przestępstwo z art. 151 kk może polegać jedynie na udzieleniu pomocy pacjentowi w popełnieniu samobójstwa poprzez dostarczenie mu środków lub informacji o środkach i sposobach umożliwiających mu zakończenie życia (wspomagane samobójstwo). Należy raczej wykluczyć sytuację, w której lekarz namawia pacjenta do targnięcia się na swoje życie.

Przestępstwo, które określa się jako pomoc w samobójstwie różni się od zabójstwa eutanatycznego przede wszystkim tym, że lekarz nie „zabija”, a jedynie udziela pomocy. Zatem czyn lekarza nie powoduje bezpośrednio śmierci. Ustawodawca założył, iż przestępstwo z art. 151 kk nie jest czynem na żądanie, a sprawca nie działa pod wpływem współczucia. Z tego też względu w przeciwieństwie do zabójstwa eutanatycznego nie przewidział nadzwyczajnego złagodzenia kary dla sprawcy lub odstąpienia od jej wymierzenia.

W przypadku podania przez lekarza pacjentowi środków lub udzielenia informacji o środkach i sposobach umożliwiających zakończenie życia na żądanie, np. pod wpływem współczucia dla niego, czyn ten winien zostać zakwalifikowany jako pomoc w samobójstwie, a nie jako zabójstwo eutanatyczne. Właśnie ze względu na brak realizacji przez lekarza – sprawcę znamienia „zabija”. W konsekwencji lekarz podający pacjentowi truciznę na jego żądanie i pod wpływem współczucia, a więc niewątpliwie bezpośrednio powodujący jego śmierć, poniosłby odpowie-

dzialność za zabójstwo eutanatyczne i mógłby skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary, a nawet jej darowania. Lekarz kierujący się tymi samymi pobudkami, pomagając w samobójstwie i bezpośrednio niezabijający, poniosłby odpowiedzialność karną w granicach sankcji z art. 151 kk, bez możliwości skorzystania z jej nadzwyczajnego złagodzenia. Zatem, jak wskazuje, M. Filar ten, który uczyniłby więcej znalazłby się w lepszej sytuacji od tego, który uczyniłby mniej. Wydaje się, iż te różnice winny być niwelowane przez sądy, zastosowaniem nadzwyczajnego złagodzenia kary na podstawie normy ogólnej z art. 60 kk.

Sprawa dotycząca wspomaganego samobójstwa była w 2002 r. przedmiotem rozważań Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Obywatelka Wielkiej Brytanii – Diane Pretty, cierpiąca na zaburzenia ruchu i niemogąca wykonywać czynności życia codziennego, lecz sprawna intelektualnie wystąpiła do władz brytyjskich o zapewnienie bezkarności dla jej męża za pomoc w popełnieniu samobójstwa. Lekarze szacowali jej czas życia na najwyżej kilka miesięcy. Samobójstwo zarówno w prawie brytyjskim jak i polskim nie jest przestępstwem, ale Diane Pretty, ze względu na ułomność, nie była w stanie popełnić go sama. Sądy krajowe nie uwzględniły jej prośby, wobec czego sprawa trafiła do Trybunału Praw Człowieka, który wyrokiem z dnia 29.04.2002 r. orzekł, iż zakaz udzielania pomocy w popełnieniu samobójstwa może stanowić ingerencję w sferę życia prywatnego, więc w sferę chronioną Konwencją o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Owa ingerencja jest jednak konieczna i usprawiedliwiona w państwie demokratycznym. →

Eutanazja i wspomagane samobójstwo w Holandii

Pierwszego stycznia 2002 r. w, słynącej ze swego liberalizmu, Holandii weszła w życie ustawa o pozabawianiu życia na żądanie i o wspomaganym samobójstwie. Ustawa ta dekryminalizuje oba ww. przestępstwa w stosunku do lekarzy, o ile dopuszczając się eutanazji lub wspomaganego samobójstwa postępują zgodnie z przepisaną prawem procedurą.

I tak lekarz dokonujący pozabawienia życia na żądanie lub dokonując wspomaganego samobójstwa musi działać w przekonaniu, że wola pacjenta została wyrażona dobrowolnie i w sposób przemyślany. Cierpienie zaś związane z chorobą jest długotrwałe i jest nie do zniesienia, istnieje również brak możliwości wyleczenia pacjenta. Ustawa wymaga konsultacji lekarza z innym lekarzem (co najmniej jednym), który sporządzi pisemną opinię, stwierdzającą istnienie wymienionych przesłanek.

Lekarz dokonuje wspomaganego samobójstwa lub eutanazji, przy zachowaniu należytej staranności, zaś o przyczynie śmierci powiadamia koronera komunalnego, sporządzając raport i wypełniając odpowiedni kwestionariusz. Koroner zgłasza przypadek eutanazji lub wspomaganego samobójstwa, specjalnie w tym celu powołanej, Regionalnej Komisji ds. oceny przypadków eutanazji i wspomaganego samobójstwa. W jej skład wchodzi lekarze, etycy i prawnicy. Komisja dokonuje oceny zasadności i sposobu przeprowadzenia zabiegu pozbawienia życia. W razie stwierdzenia nieprawidłowości powiadamia Prokuratora Generalnego.

(Autor jest aplikantem adwokackim).

Literatura:

J. Makarewicz, *Kodeks karny z komentarzem*, Lwów 1936 r., s. 397; M. Filar, *Lekarskie prawo karne*, Zakamycze 2000 r., s. 322-323; A. Zoll (red.), *Kodeks karny. Część szczególna. Komentarz*, t.2, Zakamycze 1999 r., s. 243; D. Kowalska, *Eutanazja w polskim prawie karnym a granice dopuszczalności interwencji lekarskiej*, *Prok. i Pr.* 2002 r., Nr 1, s. 93; wyrok Sądu Najwyższego z dnia 24.02.1936 r., 2 K 2240/35, poz. 336; A. Marek, *Prawo karne*, Warszawa 2000 r., s. 438

Leo Sternbach odkrywca valium

(ur. 07.05.1907r. - zm. 28.09.2005r.)



*„Nauka moja niech splywa jak deszcz,
niech słowo me pada jak rosa,
jak deszcz rzęsy na zieleń,
jak deszcz dobroczynny na trawę.”*
Pwt 32,2

Leo Sternbach urodził się w dzisiejszej chorwackiej Opatiji w ówczesnych Austro-Węgrzech. Od dziecka pomagał ojcu przy pracy w aptece. Kontynuując rodzinną tradycję poszedł na studia farmaceutyczne, które ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jego młodzieńcze badania koncentrowały się na związkach o potencjalnych właściwościach barwiących. Pracę doktorską w dziedzinie chemii organicznej obronił na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na początku swojej pracy naukowej wyprodukował szereg substancji, które określił jako heptoksidy.

Dalsze losy Sternbacha prowadzą do Wiednia w którym przez jakiś czas mieszkał, a potem do Zurychu, gdzie

pracował w Szwajcarskim Instytucie Federalnym. W 1940 roku naukowiec nawiązał współpracę z koncernem farmaceutycznym Hoffmann-La Roche w Bazylei. Wkrótce potem poślubił Hertę Kreuzer. W czerwcu 1941 roku firma, w obawie przed ewentualną hitlerowską napaścią na Szwajcarię, wysłała go wraz z innymi naukowcami pochodzenia żydowskiego do Stanów Zjednoczonych. W Ameryce Sternbach zaangażował się w powstanie nowej placówki – Hoffmann-La Roche w Nutley – w stanie New Jersey. Osiedlił się z żoną Hertą w Montclair w pobliżu swojego miejsca pracy.

Sternbach pracował na bazie pochodnych związków z grupy heptoksidy, które wcześniej produkował i izolował w Krakowie. W efekcie zsyntetyzował chlordiazepoksyd, który działał uspokajająco i rozluźniająco, nie powodował nadmiernej senności, większych zaburzeń świadomości i upośledzenia funkcji umysłowych. Farmaceutyk zastosowano po raz pierwszy w 1958 roku u pacjentów geriatrycznych. Jednak ze względu na duże dawki był przyczyną ataksji i upośledzenia mowy. Po przełamaniu nieufności wobec tego nowego środka, zaczęto go stosować z racji jego niespotykanych właściwości przeciwlękowych. W lutym 1960 roku Federal Drug Association wyraziła zgodę na dopuszczenie chlordiazepoksydu (Librium) do stosowania w lecznictwie. Był to pierwszy lek z grupy benzodiazepin, które spowodowały przełom w neuro- i psychofarmakologii.

W 1963 Sternbach wprowadził na rynek następny pokrewny środek – diazepam, który zsyntetyzował cztery lata wcześniej. Jako *valium* sprzedał się w ogromnej ilości. Niestety, diazepam uzależniał, a mimo to na początku wcale nie zmniejszyło to jego popularności. W latach 1969-1982 był najczęściej stosowanym lekiem w Stanach Zjednoczonych. Do spopularyzowania tego specyfiku przyłożyli się nawet muzycy z legendarnej grupy „Rollingstones”, którzy w jednej ze swych piosenek śpiewali o diazepamie jako o „Mother's Little Helper” (małym wspomagaczu mamusi). Leku zażywali między innymi: Elizabeth Taylor, Andy Warhol i Jack Daniels. Znaczne ilości diazepamem znaleziono również w zwłokach Elvis'a Presley'a. Valium zagościło szybko na kartach literatury. Kultowa powieść pióra Jacqueline Susann pt. „Valley of the Dolls” opowiada o kobiecie, która zaży- ➔

wała diazepam by ukoić nerwy rozlatane w wirze nowojorskiego życia.

Po latach Sternbach stwierdził, że jego lek zapobiegł znacznej liczbie samobójstw i uratował wiele małżeństw przed rozpadem. Odkrycie valium dało wynalazcy, jak sam twierdził, dużo satysfakcji, gdyż inni ludzie dzięki temu lekowi poczuli się lepiej.

Oprócz syntezy diazepamem opracował technologie produkcji innych farmaceutyków. Wśród nich znalazły się: biotyna po raz pierwszy syntetyzowana na przemysłową skalę, przeciwspazmatyczne clidinium (quarzan), librax (lek złożony: librium + clidinium bromide) do terapii wrzodów trawiennych oraz kolejne benzodiazepiny: flurazepam (dalmane) i klonazepam (klonopin 1976). Wyprodukował również Arfonad (trimetaphan camsilate), który jako silny wazodilatator stosuje się podczas operacji neuro- i torakochirurgicznych do zmniejszenia krwawienia oraz w celach diagnostycznych.

W 1973 roku Sternbach przeszedł na emeryturę, ale nadal pozostawało do jego dyspozycji biuro w firmie. Patenty Sternbacha przyniosły ponad jedną czwartą dochodów gigantowi farmaceutycznemu La-Roche. Właściwie to koncern zawdzięczał Leonowi Sternbachowi przełamanie kryzysu w latach czterdziestych i pięćdziesiątych oraz wejście w okres prosperity, który trwa do dziś.

Leo Sternbach wychował dwóch synów Daniela (aktualnie chemika w Glaxo SmithKline) i Michała oraz oczekiwał się pięciorga wnucząt. W 2003 roku przeprowadził się do Północnej Karoliny. Przeżywszy 97 lat, po krótkiej chorobie, zmarł w obecności żony, synów oraz krewnych. Było to wieczorem 28 września bieżącego roku w Chapel Hill, siedem dni przed żydowskim Nowym Rokiem – Rosz Haszana. Tradycja utrzymuje, że na początku tego święta zostają osądzeni w pierwszej kolejności ci ludzie, wobec których Bóg nie ma żadnej wątpliwości: ludzie w pełni sprawiedliwi (cadikim) oraz bezwzględni złoczyńcy. Jak wspominałem Leon Sternbach został wezwany na ów Boży sąd na siedem dni przed terminem, co ma szczególny wydźwięk. Siódemka oznacza w języku starotestamentowym absolutną pełnię i znamionuje doskonałość.

Andrzej Wincewicz

(Autor jest doktorantem w Zakładzie Patomorfologii Lekarskiej AMB).



Adam Dobroński



Miasto wielkiej żywności

To miasto ma za sobą zdarzenia tragiczne, ale bywało i na święczniku dziejów, posiada metrykę staropolską, leży przy ważnych szlakach drogowych i ledwie 7 kilometrów od linii kolejowej, tyle że zaniedbanej. Ciężko niegdyś głównie do Brześcia nad Bugiem, mając blisko do Drohiczyzna – stolicy województwa podlaskiego. Teraz konkuruje z Bielskiem Podlaskim, podtrzymuje więzi z Siedlcami, pogodziło się z podporządkowaniem administracyjnym Białemustokowi. Potrafi łączyć wątki zachodnie i wschodnie, łacińskie i nawiązujące do Bizancjum, korzystało z majestatu i talentów osób tu zamieszkałych, lub to dając upust swym namiętnościom. To są Siemiatycze!

Tak drzewiej bywało

Historia pisana dóbr siemiatyckich rozpoczyna się w pierwszej połowie XV stulecia, pierwsza wzmianka pochodzi z 1443 roku ze wskazaniem na chorążego warszawskiego Borutę (bez diabelskich koneksji) z Falent. W końcu tego wieku własność ta przeszła w ręce możnego rodu Tęczyńskich i obejmowała wsie: Boratyniec, Cecele (uposażenie kościoła), Klekotowo, Łojki, Siemiatycze, Słochy, Turza. Ponoć cechą wyróżniającą była dobrze prowadzona hodowla koni. Profesor Józef Maroszek uznał, że można by w początkach Siemiatycz widzieć typowe dla Podlasia zjawisko powstawania dwóch organizmów miejskich (stanowiących jedno miasto), o odrębnym składzie etnicznym, prawnym i religijnym społeczeństwa. W Siemiatyczach, podobnie jak w Bielsku, Suraziu, pobliskim Drohiczyźnie, czy w Tykocinie doszukać się można dwu dzielnic: „lackiej” i „ruskiej”, związanych z funkcjonującymi tu świątyniami. Zatem polskiej z kościołem i ruskiej (rusińskiej) z cerkwią. Dodajmy jeszcze, że podział ten wzmocniło ukształtowanie terenu, zwłaszcza podmokłe doliny rzek Kamionki i Muchawca. Częściowo więc groblą biegł szlak południkowy od zachodu przez Drohiczyzn i dalej do Mielnika, wspomnianego Brześcia; nim wracali także flisacy po zakończeniu spławu rzeką Bug. Dzięki budowie mostu przez tenże Bug, nabrał znaczenia i szlak południkowy od Lublina do Bielska, a z czasem i do Białegostoku.

Za sprawą Stanisława Tęczyńskiego król Zygmunt I Stary wystawił 8 stycznia 1542 roku w Wilnie dokument nadający Siemiatyczom prawo miejskie magdeburskie. Przywilejów przybywało w latach następnych, co dobrze służyło zwłaszcza rozwojowi handlu (targi czwartkowe i 3 jarmarki). A było to już wówczas (od 1513 roku) województwo podlaskie, w 1569 roku przeniesione z Wielkiego Księstwa Litewskiego do Korony Polskiej. Trzydzieści lat później zaszedł fakt nie mniej ważny – dobra siemiatyckie poprzez ożenek Halszki (Elżbiety) Radziwiłł z Lwem Sapiehą stały się jedną z pereł w koronie tego rodu, zapisanego złotymi zgłoskami w dziejach naszego regionu. Jaśnie wielmożny Lew Sapieha dodał do objętych ziem majątki Baciki i Czartajew oraz rozpoczął →

budowę okazałej murowanej świątyni, którą możemy i dziś podziwiać.

Uczona białogłowa

Wojny połowy XVII wieku, pożary, potem znów wojna domowa między Sasem a Lasem (Augustem Sasem II i Stanisławem Leszczyńskim), wielka epidemia cholery w latach 1710-1711 (część mieszczan uniknęła śmierci dzięki schronieniu na górze koło Grabarki) – te i inne nieszczęścia dopadły także mieszczan siemiatyckich. Ale Sapiehowie nie dawali za wygraną, Michał Józef wyjednał nowe przywileje królewskie, wiele ożywienia wprowadzili przybyli w latach 20. XVIII stulecia księża misjonarze, nie zabrakło energii i miejscowym, coraz liczniejszym Żydom. W taki to czas nastąpiła księżna Anna Jabłonowska, wielka reformatorka, ambitna pani, ze wszech miar oświecona, choć przez niektórych oceniana jako szarlatanka w sprawach ekono-



Fot. Pałac księżnej Anny Jabłonowskiej.

micznych. Panowała ona w Siemiatyczach przez pół wieku, od 1750 do 1800 roku.

Panna (urodzona w 1728 roku w miejscowości Wołpia na Grodzieńszczyźnie) poślubiła starszego od siebie o 29 lat księcia Jana Kajetana Jabłonowskiego, Zdaniem biografów nie kochała go wcale, a po odbyciu kilkuletniej(!) podróży poślubnej po Europie, mało z nim bywała. Kiedy książę zmarł Anna miała ledwie lat 36, ale albo nie chciała ponowić ożenku, albo nie mogła znaleźć odpowiedniego kandydata, który wziąłby się za ratowanie zadłużonych dóbr liczących łącznie 11 miast (w tym Siemiatycze i Kock) oraz 107 wsi. W tej sytuacji księżna zajęła się sama naprawą gospodarki i stosunków społecznych, interesowała się ponadto przyrodznawstwem i etnografią, stworzyła właśnie w Siemiatyczach bogatą bibliotekę i gabinet historii naturalnej. Utrzymywała też kontakty z głowami koronowymi i luminarzami kultury, literatury, nauki (biskup Ignacy Krasicki, Adam Naruszewicz, Hugo Kołłątaj, Franciszek Karpiński etc.). Mimo słabego zdrowia zadziwiała pracowitością, znała łącznie, języki niemiecki i francuski, była na bieżąco z trendami literackimi, interesowała się też filozofią. Z prac jej autorstwa najwyżej cenione są „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców”, wydane właśnie w Siemiatyczach w 1786 roku. Zdaniem Krystyny Marszałek-Młyńczyk charakter Anny z Sapiehów Jabłonowskiej „cechowała

dwoistość: surowość i łagodność, zasadniczość i małostkowość, wielkoduszność i srogość, wielkopańska duma i chrześcijańska pokora, rozrzutność i drobiazgowość oszczędność”. I jak tu zrozumieć taką Istotę?

Julian Bartyś uznał brutalnie, że reformy księżnej Anny nie odpowiadały potrzebom ówczesnej wsi i – co nie ulega wątpliwości – doprowadziły również do ruiny. Zlicytowano je za długi w 1801 roku, wkrótce po śmierci właścicielki. Nikt natomiast nie śmie poddawać w wątpliwość zasług Anny z Sapiehów Jabłonowskiej dla awansu samych Siemiatycz. Stały się one jednym z najludniejszych miast Podlasia, miały wyjątkowo dużo rzemieślników i liczne zakłady typu manufakturowego, zyskały cenne zabytki (pałac, tzw. ratusz z kramami i pierzeje rynku, bożnicę) a nawet szkołę położnych („instytut akuszerii”) z doktorem Józefem Haydatelem. O wspomnianym gabinecie historii naturalnej pisano wiersze, znamy listę znakomitych gości, wiele z niego i ze zbiorów bibliotecznych skorzystał także ks. Krzysztof Kluk.

Bitwa siemiatycka

Po III rozbiórce Siemiatycze wraz z całym Podlasiem poddane zostały na krótko rządowi pruskiemu, a od 1807 roku znalazły się w Rosji (od 1843 roku w guberni grodzieńskiej). Zaznaczyły się i tu kolejne wojny oraz wystąpienia narodowowyzwoleńcze. Nadal rozwijał się przemysł włókienniczy, głównie produkujący sukna, których wyrabiano w Siemiatyczach do 1832 roku więcej niż w Białymstoku.

O miasteczku nad Kamionką i Muchawcem Polska przypomniała sobie początkach 1863 roku, bo 6 i 7 lutego rozegrała się tu duża bitwa. W pierwszym dniu oddziały polskie Władysława Cichorskiego „Zameczka” odparły – korzystając z osłony muru cmentarnego – atakujących Rosjan. W dniu następnym obie strony zyskały istotne wzmocnienia, dołączył m.in. oddział powstańczy Romana Rogińskiego. Niestety, nasi nie zorganizowali należytego systemu dowodzenia, Rosjanie poprzez ostrzał z dział wywołali pożary w mieście i zaczęli okrążać lewe skrzydło obrońców. Dramat rozegrał się w rejonie pałacu, bez walk te zabudowania zajęli Rosjanie, a w płomieniach zginęli ranni Polacy. Odwrót powstańców zamienił się w paniczną ucieczkę, wielu potopiło się w błotach nadrzecznych. To był ciężki cios dla konspiracji podlaskiej 1863 roku, już nigdy w naszym regionie nie zebrały się tak znaczne siły (4,5-5 tysięcy) „leśnych”. Do dziś niestety nie wiadomo, gdzie zostało pochowanych kilkuset zabitych powstańców.

Rozszalał się terror carski, Siemiatycze długo podnosiły się ze zgliszcz, pozostały siedzibą gminy. Wprawdzie od lat osiemdziesiątych XIX stulecia szybciej przybywało znów tu mieszkańców (do około 6,5 tys. przed I wojną światową), ale głównie wskutek napływu wyznawców mojżeszowych, którzy stanowili ponad 75% ogółu obecnych. Był to więc już tylko ośrodek lokalny, obsługujący przede wszystkim okoliczne wsie i folwarki. Do niektórych tradycji ks. Anny próbował nawiązywać hr. Henryk Ciecierski. Pogorszyły się z winy polityki carskiej relacje między nacjami oraz wyznacznymi, ze wschodu ścigali osadnicy chłopscy.

Raz na wozie, raz pod wozem

Wojna lat 1914-1918 i następnie roku 1920 przyniosła nowe zniszczenia, jednocześnie ożywiły się środowiska polskie. Po 1921 roku Siemiatycze pozostały w powiecie bielskim, nadal przewagę w miasteczku utrzymali Żydzi (65%). W gospodarce zabrakło znaczących inwes- →

tycji, dominowali drobni kupcy i rzemieślnicy, bieda sprzyjała propagandzie lewicowej. Postępowały jednak procesy polonizacyjne, do czego przyczyniali się: Kościół (od 1925 roku nowa diecezja pińska), szkoły (podstawowe a średnie w Bielsku, Drohiczynie, Siedlcach), wojsko, były zaścianki szlacheckie, miejscowa nieliczna inteligencja. Ożywienie bardziej zaznaczało się w sferze duchowej niż materialnej.

W rozmowach z siemiatyczanami powracają wspomnienia z lat wojny, zarówno o terrorze w wykonaniu obu okupantów, jak i o ruchu oporu, działaniach Armii Krajowej oraz walkach wojsk regularnych we wrześniu 1939 roku, czerwcu 1941 roku i lipcu 1944 roku. Wydarzeniem szczególnym były upadki w rejonie Siemiatycz rakiet (bomb) niemieckich V-1 i V-2. Udało się wywiadowi akowskiemu ustalić wiele szczegółów technicznych „cudownej broni” Hitlera i jej elementy przekazać do Londynu. Zagładzie ulegli siemiatyccy Żydzi, z wolna po przejściu frontu powracali z zachodu i wschodu ci, co przeżyli represje, a na całym tak zwanym Podlasiu Nadburzańskim przeciągała się „wojna po wojnie”. Dało się też odczuć skutki ustalenia nowej granicy państwowej, która przerwała dawne więzi z Brześciem i okolicami tej stolicy Polesia.

W 1952 roku po raz pierwszy pojawił się na mapach Polski powiat siemiatycki, napłynęli urzędnicy, wzbogacano stopniowo infrastrukturę. Odwilż popaździernikowa 1956 roku i późniejsze zakręty w dziejach PRL zostały dobrze wykorzystane przez miejscowe władze, poklask zyskała duża aktywność społeczeństwa. Dzięki temu zaczęto postrzegać Siemiatycze jako miasto gospodarne, atrakcyjne kulturalnie i gościnne, życzliwe przyszłości. To z kolei pomogło w usytuowaniu tu dużych inwestycji, zwłaszcza przemysłu spożywczego, co nie przeszkodziło w ekspanowaniu bogactwa naturalnego i turystyki. Zadbano również o odbudowę i popularyzację zabytków. Tak Siemiatycze znów dały dowody swojej żywotności, są i obecnie siedzibą władz powiatowych, miastem chętnie odwiedzanym.

*(Autor jest prof. dr. hab.
– pracuje na Wydziale
Historyczno-Socjologicznym
Uniwersytetu w Białymstoku).*



0 potrzebie latania



Janusz Niczyporowicz

Nie życzę nikomu, aby spotkało go takie nieszczęście jak mnie. Wiadomość, która do mnie dotarła za pośrednictwem prasy prawie mnie ścięła z nóg. Ale skoro tak się nie stało, więc to, co mnie nie powaliło, tylko mnie wzmocniło.

Dowiedziałem się mianowicie, że Białystok nie jest metropolią!

Ale w tym tunelu pojawiło się jednak światełko. I to ono właśnie, swoim ożywym blaskiem przyświecało chęć ucieczki do Nowego Jorku. Tym światełkiem była kolejna informacja, że Białystok będzie się jednak starał o to, aby kandydować do miasta metropolii. Miasto musi jednak spełnić jeden warunek. Konieczne jest lotnisko.

Konieczne jest lotnisko.

Bez lotniska Białystok będzie prowincją, pipidówką, odciętą jak dzisiaj, od świata, z której wyjazd do Wrocławia czy Krakowa jest prawdziwą wyprawą globtroterską, na którą trzeba poświęcić cały dzień czyli tyle ile trwa przelot z Warszawy do Nowego Jorku czy Chicago.

Walka o kilkadziesiąt hektarów ścierniska trwała w naszym mieście od lat. Pojęcie „lotnisko” funkcjonuje wśród mieszkańców od dawna. To miejsce, na które wywozi się czworonogi by sobie pohasały, na którym trenują przed egzaminami prerażeni adeptci prawa jazdy lub pięką kielbaski piwne amatorzy picników.

Na obecnym terenie zwanym lotniskiem wprawdzie mogą lądować samoloty sportowe i turystyczne, a nawet helikoptery, ale nie ma mowy o uruchomieniu regularnych rejsów pasażerskich, obsługiwanych przez samoloty z tak zwanego prawdziwego zdarzenia. Chodzi głównie o to by liczba startów zgadzała się z liczbą lądowań.

W czym problem? Może nawet nie w kwestii pieniędzy, bo lotnisko to wprawdzie ogromna inwestycja, ale bardzo intratna i ze względu na swój charakter mogąca z czasem przynosić spore zyski. Czas to przecież pieniądź, o czym wiedzą na całym świecie nie tylko politycy, ale przede wszystkim biznesmeni.

Spór toczył się całymi latami o lokalizację. Bo co do samej kwestii, że lotnisko w Białymstoku jest konieczne, wszyscy są zgodni. Musi spełniać jednak pewne bezwzględne standardy. Chodzi o długość, szerokość i wytrzymałość pasów. No i oczywiście o całą infrastrukturę. Część lobbystów optowała za Krywanami, część za innym terenem. Byli tacy, którzy uważali, że istniejące lądowisko powinno stać się miejscem, na którym należy wybudować świątynię poświęconą Janowi Pawłowi II, może osiedle mieszkaniowe i sieć handlową w okolicy albo zakład przemysłowy. Przeciwny budowie świątyni był nawet arcybiskup, metropolita białostocki, który uważał, że nie należy szafować imieniem papieża w kontekście planów biznesowych. Inni zacierali ręce i widzieli nawet możliwość wyprowadzenia całego projektu choćby do Suwałk, które do dzisiaj nie mogą przeżyć tego, że odebrano im status miasta wojewódzkiego.

Czy Państwo wyobrażacie sobie taki nagłówek w prasie: W suwalskiej metropolii otwarto kolejną stację metra Jeleniego Centrum. Albo inny: Na suwalskim lotnisku wylądowały wczoraj dwa F16 eskortujące Air Force One z prezydentem USA na pokładzie.

Taką wizję trzeba było wpajać białostockim radnym, aby każdego ranka budzili się złani potem. Aż wreszcie klamka zapadła. Białystok będzie metropolią, Krywany Airport tuż, tuż! Skąd ten nagły dryf? Pana Prezydenta poprosił Pan Marszałek.

A co potem?

Jest jeszcze Nowy Jork! To dopiero metropolia!

Polski Instytut Badań Mózgu w Wilnie

„Ten któremu obojętna jest przeszłość,
nie zasługuje na przyszłość”.

Józef Piłsudski

w latach 1931-1938

Powstanie i działalność Polskiego Instytutu Badań Mózgu (PIBM) w Wilnie ściśle wiąże się z Uniwersytetem Stefana Batorego (USB) i osobą prof. Maksymiliana Rosego, założyciela i dyrektora tego Instytutu.

Dwudziestego ósmego sierpnia 1919 r. ogłoszony został Dekret Naczelnego Wodza J. Piłsudskiego, powołujący do życia wyższą uczelnię w Wilnie i nadający jej „po wieczne czasy” nazwę Uniwersytetu Stefana Batorego, dla upamiętnienia twórcy dawnej Akademii Wileńskiej. Pierwszym rektorem z nominacji został Michał Siedlecki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uroczyste oficjalne otwarcie Uniwersytetu przez Marszałka J. Piłsudskiego nastąpiło 11 października 1919 r. równocześnie z inauguracją nowego roku akademickiego.



Fot. Siedziba Polskiego Instytutu Badań Mózgu.

Wśród powołanych siedmiu wydziałów (pierwotnie planowano dziesięć) był Wydział Lekarski, który mimo wielu trudności rozpoczął swoją działalność w 1919 r. Jego twórcą i pierwszym dziekanem był Stanisław Władyczko. Będąc profesorem neurologii i psychiatrii wszczął starania otwarcia Kliniki Neurologicznej, która rozpoczęła swoją działalność jesienią 1922 r.

W 1933 r. na podstawie nowej ustawy o uniwersytetach tzw. jędrzejowiczowskiej¹ ograniczono autonomię uczelni i zlikwidowano wiele katedr. Wśród zamkniętych znalazła się klinika kierowana przez prof. S. Władyczkę. Na podstawie decyzji Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego połączono Klinikę Neurologiczną z Kliniką Psychiatriczną i powołano Klinikę Chorób Nerwowych i Umysłowych USB, położoną przy ul. Letniej 5 (obecnie ul. Vasaros 5) na Antokolu. Jej kierownikiem został prof. Maksymilian Rose, dotychczasowy kierownik Kliniki Psychiatrycznej.

łowych USB, położoną przy ul. Letniej 5 (obecnie ul. Vasaros 5) na Antokolu. Jej kierownikiem został prof. Maksymilian Rose, dotychczasowy kierownik Kliniki Psychiatrycznej.

Po odbyciu studiów lekarskich na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie w Niemczech, kształcił się pod kierunkiem Oppenheimera i Brodmanna – twórcy cytoarchitektoniki mózgu. Potem pracował w Instytucie Cesarza Wilhelma u prof. Oskara Vogta. W 1927 r. podjął pracę na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Wkrótce wystąpił z inicjatywą założenia pracowni badań mózgu, gdyż uważał, że anatomia układu nerwowego winna być w pierwszym rzędzie opracowana przez neurologów i psychiatrów, gdyż wiele szczegółów normalnej budowy może być ustalonych dopiero po zbadaniu procesów chorobowych (S. Rose 1939). W Warszawie zabrakło mu warsztatu do badań nad mózgiem, do jakiego był przyzwyczajony w Niemczech. Wystąpił więc z inicjatywą założenia pracowni mózgu w Polsce, którą to inicjatywę poparli naukowcy. Aby zrealizować zamiary prof. M. Rosego powołano do życia w listopadzie 1928 r. Polskie Towarzystwo Popierania Badań Mózgu. Do zarządu weszli znani profesorowie warszawscy, m.in: M. Konopacki, J. Mazurkiewicz, K. Orzechowski. Celem tego Towarzystwa było „popieranie badań naukowych mózgu i jego czynności, przyczyn chorób nerwowych i psychicznych oraz sposobów ich zapobiegania i leczenia”. Dla realizacji tych zadań statut Towarzystwa przewidywał założenie i utrzymanie Polskiego Instytutu Badań Mózgu. Oficjalnie Instytut został powołany do życia na walnym zebraniu 19 listopada 1928 r. Kierownictwo i organizację Instytutu powierzono prof. M. Rosemu. W warszawskim okresie swego istnienia PIBM

był jednym z oddziałów Zakładu Histologii i Embriologii Uniwersytetu Warszawskiego i zajmował w nim tylko dwa pokoje (B. Borysowicz 2004).

W kwietniu 1931 r. M. Rose został powołany do Katedry Psychiatrii Uniwersytetu Wileńskiego. Równocześnie został tam przeniesiony PIBM i umieszczony w siedmiu małych pokojach przerobionych ze strychu na poddaszu Państwowego Szpitala Psychiatrycznego. Instytut był częścią składową Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych USB. Właśnie tam w pawilonie przy ul. Letniej 5 prof. M. Rose wraz ze swym zespołem prowadził prace nad mózgiem. Miały one głównie charakter anatomiczno-porównawczy i architektoniczno-porównawczy mózgow ludzi i ssaków, zmierzały do wyjaśnienia budowy i funkcji tych części mózgu, które są im wspólne. →

był jednym z oddziałów Zakładu Histologii i Embriologii Uniwersytetu Warszawskiego i zajmował w nim tylko dwa pokoje (B. Borysowicz 2004).

¹ Ustawa ta dawała ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego J. Jędrzejowiczowi prawo tworzenia i zamykania katedr i wydziałów, a tym samym przenoszenia profesorów w „stan nieczynny”, oraz zatwierdzanie rektorów.



Maksymilian Rose



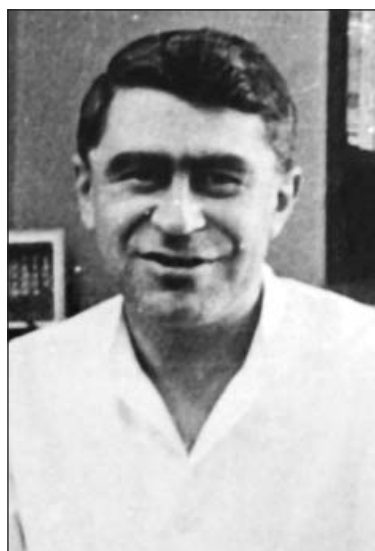
Jerzy Rose



Stella Rose



Jerzy Borysowicz



Jerzy Olszewski



Zygmunt Kanigowski

Ośrodek wileński był jednym z czterech ośrodków zajmujących się cytoarchitektoniką (budową komórkowej istoty szarej mózgu). Poza nim działały: Instytut Vogta w Berlinie, Economo w Wiedniu oraz w Moskwie.

Opracowanie mózgu było następujące: mózgi zwierząt dużych i człowieka utrwalano w mieszaninie alkoholu i formaliny. Krojono je specjalnym przyrządem na bloki. Przed zatopieniem były one ze wszystkich stron fotografowane. Następnie przeprowadzano przez alkohole w coraz wyższym stężeniu do alkoholu absolutnego i po przeprowadzeniu przez chloroform zatapiano w parafinie. Następnie krojono na skrawki. Grubość skrawków przeznaczonych do badań cytoarchitektonicznych wynosiła 20 μ zaś do badań mieloarchitektonicznych 40 μ . Krojenie i zatapianie mózgu człowieka wymagało szczególnej techniki i było bardzo żmudne, a ilość skrawków z jednego mózgu człowieka wynosiła około 12000. Dla celów cytoarchitektonicznych skrawki barwiono fioletem krezylu. Dla uwidocznienia włókien rdzennych stosowano najczęściej barwienie sposobem Haidenheina oraz srebrzenie według Bieschowsky'ego, zaś do barwienia gleju używano sposobu Holzera.

W Instytucie prowadzono badania nad mózganiami ludzi tzw. elitarnych. W Europie panowała wówczas moda na porównawcze badania mózgow ludzi wybitnych z mózganiami ludzi przeciętnych lub też społecznie odbiegających od normy, w nadziei znalezienia podstawowych różnic między ludźmi. Ten kierunek badań był wówczas szczególnie popularny w Niemczech i Rosji. Pod wpływem tych prądów naukowych badany był mózg W. Lenina przez prof. O. Vogta, który w przeszłości kształcił prof. M. Rosego. Prof. O. Vogt badał mózg Lenina w Moskwie, gdzie w 1925 r. specjalnie powołano w tym celu Instytut Badań Mózgu.

Przy opracowywaniu mózgow osób wybitnych M. Rose wprowadził odlewy sposobem Pollera. W pracy „O indywidualnych właściwościach kory mózgowej u ludzi” (Rocznik Psychiatryczny, 1933r.) M. Rose podał kryteria, jakimi należy kierować się przy badaniu mózgow ludzi należących do elity intelektualnej. Uważał, że można opierać się tylko na porównaniu mikroskopowym okolic i pól cytoarchitektonicznych, bowiem tylko one są niezmiennie i stałe. W badaniach analizowano: szerokość kory i poszczególnych warstw, gęstość →

komórek, ich wielkość, kształt, stosunek wielkości jądra do protoplazmy i zachowanie się wypustek, wielkość powierzchni ośrodków cytoarchitektonicznych i ich objętość. Do tego rodzaju badań mózgi miały być odpowiednio przygotowane i we wszystkich szczegółach jednakowe. Podstawą studiów było badanie każdej grupy histogenetycznej i każdej okolicy kory z osobna, aby mieć pewność, że porównywane obrazy pod względem morfologicznym są równorzędne. Przy porównaniach stosowano te same powiększenia i posługiwano się mikrofotografią, gdyż wtedy tylko można ocenić dokładnie wszystkie ważne cechy architektoniczne. Jedynie badania przeprowadzone według tych wytycznych mogły mieć znaczenie w morfologii.

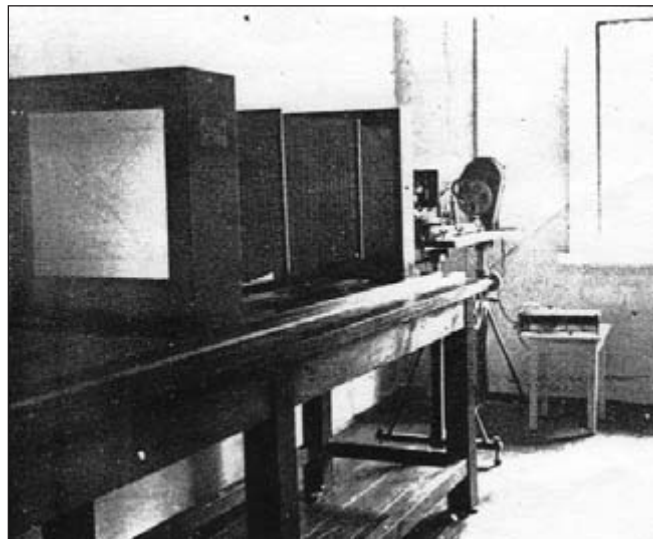
Wśród „elitarnych” mózgów, które badał M. Rose w Wilnie był mózg – o wysokich uzdolnieniach językowych – prof. S. Trzebińskiego, profesora patologii i historii medycyny USB. Stwierdzono w nim znaczny rozwój płatów skroniowych i ciemieniowych, co miało wiązać się z wysokim poziomem intelektualnym. Pomiary okolicy wzrokowej wskazały na jej słaby rozwój, co przypisywano gorszej zdolności orientowania się w przestrzeni. Wyniki tych badań ogłosił M. Rose w pracy „O mózgu Ś.P. prof. Stanisława Trzebińskiego” opublikowanej w „Pamiętniku Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego” w 1935 r.

Mózgiem, który miał być zbadany w całości na skrawkach był mózg Marszałka Józefa Piłsudskiego, który wyraził wolę, aby jego mózg przeznaczyć na cele badawcze w naszym kraju. Miała to potwierdzić jego wnuczka. W tym celu powołano specjalny zespół w składzie profesorów: K. Orzechowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego (Kierownik Kliniki Neurologicznej), S. Pieńkowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz M. Rosego z USB, który podjął się badania mózgu J. Piłsudskiego. Byli oni przekonani, że postawione przed nimi zadanie jest zdarzeniem naukowym nadzwyczajnej wagi. Po przywiezieniu mózgu Marszałka do Wilna, wybudowano w celu zabezpieczenia tego mózgu oddzielny murowany pokój chroniący przed niebezpieczeństwem pożaru.

Opracowanie tego mózgu postawiło Rosego przed szczególnym zadaniem. Po utrwaleniu mózgu zostały wykonane odlewy. Przygotowanie skrawków także odbywało się nieco odmiennie od zwykłego sposobu dla mózgów ludzkich, gdyż zazwyczaj przechowuje się 3 skrawki na 10, odrzuca się siedem skrawków. Z mózgu J. Piłsudskiego wykorzystano wszystkie skrawki, aby umożliwić przyszłym pokoleniom dalsze jego badanie w miarę postępu metod badawczych w przyszłości. Technika fotograficzna postawiono na bardzo wysokim poziomie. Wszystkie zdjęcia do pracy „Mózg Piłsudskiego” wykonano w Instytucie, gdzie każdy egzemplarz zawierał wyłącznie oryginalne kopie fotograficzne. Rose zdażył opracować mózg J. Piłsudskiego tylko makroskopowo. W 1938 roku, już po nagłej śmierci profesora, która nastąpiła rok wcześniej, wyszedł w druku bardzo zasłużonej dla polskość drukarni J. Zawadzkiego tom pierwszy pracy „Mózg Józefa Piłsudskiego” w języku polskim i francuskim z 35 fotografiami. Przy badaniu mózgu Rose przyjął podział histogenetyczny. Opisał zakręty, rowki, wgłębienia na wszystkich powierzchniach kresomózgowia i mózdzku. Nie formułował wniosków, wstrzymując się do ukończenia badań, które były zaplanowane na wiele lat (Herczyńska, 1998 r.).

Plansze fotografii znajdowały się w dużym etui, oprawionym w płótno, tkane ludowym wzorem wileńskim. Etui zamykało się klamrami w kształcie orłów polskich. Według

Borysowicza (1976 r.) pracę tę wydano w kilkunastu egzemplarzach, przeznaczonych dla osób związanych blisko z osobą Marszałka Piłsudskiego i Instytutem. Jeden egzemplarz jest najprawdopodobniej przechowywany w Instytucie J. Piłsudskiego w Londynie. Dalsze tomy nie ukazały się.



Fot. Pracownia mikrofotograficzna.



Fot. Pracownia techniczna.

Obok badań anatomiczno-porównawczych i związanych z nimi badań eksperymentalnych oraz rozpoczętego badania mózgów „elity” Instytut zajmował się zagadnieniami anatomiczno-lokalizacyjnymi. Był on ściśle związany z Kliniką Neurologiczno-Psychiatryczną, stąd realizował problemy proponowane przez Klinikę. Rose zajmował się wybiórczością schorzeń warstw kory mózgu w niektórych jednostkach chorobowych (porażenie postępujące, płasawica Huntingtona).

Wileński Instytut Badania Mózgu posiadał niezwykle cenny materiał porównawczy, jakim w kraju nie rozporządzała żadna pracownia badań mózgu, a tylko kilka innych zagranicą. Instytut posiadał według wykazu dr Stelli Rose 217 różnego rodzaju preparatów mózgu ludzi, małp, zwierząt domowych, ptaków i gadów. W zbiorze tym znajdowało się 31 mózgów ludzkich skrojonych i zabarwionych lub zatopionych w parafinie lub przygotowanych do krojenia (S. Rose, 1939.).

Już od początku swego istnienia Instytut miał bardzo żywy kontakt z podobnymi instytucjami zagranicą, w szcze- ➔

gólności z Instytutem Badań Mózgu im. Cesarza Wilhelma w Berlinie, z Instytutem Cajala w Madrycie, Instytutem Economo w Wiedniu, Instytutem Badań Mózgu w Moskwie oraz z neurologiczno-anatomicznymi placówkami prawie całej Europy, Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Chin. Była to głównie korespondencja z różnymi placówkami naukowymi, dotycząca szczegółów technicznych opracowania mózgow oraz wymiana prac, jak również dzielenie się poglądami na aktualne zagadnienia naukowe.

Instytut był częścią Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych, i jak pisze Stella Rose „nie miał przez cały czas swego istnienia żadnych stałych dochodów. Nieustanną troską Rosego było zapewnienie mu funduszy potrzebnych na zakup aparatury naukowej i opłacenie bieżących wydatków oraz poborów pracownikom technicznym”. Utrzymywał się wyłącznie z subwencji rozmaitych instytucji, a przede wszystkim zasiłków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Polskiej Akademii Umiejętności, które znacznie wzrosły gdy przywieziono mózg Piłsudskiego w celach badawczych. W następnych latach dotacje drastycznie zmniejszyły się. Te kłopoty finansowe były prawdopodobnie przyczyną, że prof. M. Rose w 1937 r., krótko przed swą niespodziewaną śmiercią w wieku 55 lat planował przeniesienie Instytutu do Warszawy i przyłączenie go do Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego. Stało się to po śmierci M. Rosego.

W Instytucie poza dobrze wyszkolonymi pracownikami technicznymi współpracowali z prof. M. Rose pracownicy kliniki: dr Z. Bojarczyk-Czyżewska, J. Borysowicz, J. Olszewski, J. Rose i prawdopodobnie Z. Kanigowski. Współpracowała też z nimi żona prof. Rosego, dr Stella Rose. Większość z nich z pewnością pracowała nad mózgiem Piłsudskiego.

Profesor bardzo obciążony różnymi obowiązkami, z pewnością nie miał dość czasu na żmudne prace dotyczące badania mózgu Marszałka i zadanie to pozostawił swoim współpracownikom. Jednak rzeczą znaną jest, że w I tomie „Mózgu J. Piłsudskiego” nazwisko Stelli Rose, ani żadnej wyżej wspomnianej osoby nie jest wymienione.

Po śmierci M. Rosego Instytut przeniesiono do Warszawy i przyłączono do Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego. Dalsze badanie mózgu Piłsudskiego miało być kontynuowane za granicą przez prof. O. Vogta. Nie wiadomo jednak, czy zbiory Instytutu Mózgu zostały przekazane Instytutowi im. Nenckiego w Warszawie. Jest to niemożliwe do sprawdzenia, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej archiwa tego Instytutu i cały jego dorobek zostały całkowicie zniszczone.

Prof. M. Rose ostatnie lata swego życia poświęcił badaniom mózgu Marszałka, wykonując je w najdrobniejszych szczegółach, z niesłychanym pietyzmem i starannością. To było dzieło jego życia. Przeprowadził on swe znakomite badania cytoarchitektoniczne, które przysporzyły Instytutowi zasłużoną sławę w świecie naukowym.

Jakie były dalsze losy zbiorów Instytutu Badań Mózgu, w tym także mózgu Marszałka. „Gdzie znajduje się mózg J. Pił-

sudskiego?” To frapujące pytanie zajmuje umysły wieku ludzi.

Po wojnie długo nie można było oficjalnie wspominać o Marszałku J. Piłsudskim, a neurologzy wileńscy na ten temat prawie nic nie pisali. Długi okres milczenia stał się głównym powodem tego, że o losie mózgu Marszałka, jak i o pracy ówczesnych neurologów wileńskich tak mało wiadomo. Wiele faktów zostało poważnie zniekształconych, a prawda w miarę upływu czasu ulega zatarciu.

Istnieje pogląd, że być może po wkroczeniu wojsk sowieckich do Wilna, Rosjanie przewieźli zbiory Wileńskiego Instytutu Badań Mózgu do Moskiewskiego Instytutu Badań Mózgu. Może tam właśnie należałoby szukać mózgu Marszałka?

Rodzina dr. J. Borysowicza, który pracował w Klinice Chorób Nerwowych i Umysłowych i w Instytucie Badań Mózgu w Wilnie, próbowała odszukać mózg J. Piłsudskiego. Ich ojciec miał informację z Wilna, że preparaty mózgowe Instytutu były przekazane Katedrze Anatomii Uniwersytetu Wileńskiego. W tym celu przejrzeni bogate zbiory Muzeum Anatomicznego i zbiory Wydziału Biologii Uniwersytetu Wileńskiego. Doszli oni do wniosku, że w zbiorach Uniwersytetu Wileńskiego nie ma materiałów Instytutu Mózgu. Tam dowiedzieli się, że wiele preparatów Instytutu Mózgu zostało prawdopodobnie zniszczonych przez Rosjan (B. Borysowicz, 2004r.).

Profesor Wojciech Sobaniec, kierownik Kliniki Neurologii i Rehabilitacji Dziecięcej AMB zwiedzając w Wilnie dawną Klinikę Chorób Nerwowych i Umysłowych oraz Instytut Badań Mózgu przy ul. Letniej, powołuje się na jemu znane informacje, że pod koniec września 1939 r. kilku profesorów USB ukryło pojemnik z mózgiem J. Piłsudskiego być może na rozległym terenie wokół Instytutu.

Faktem jest, że zawierucha wojenna spowodowała zaginięcie bogatych zbiorów PIBM w Wilnie i mózgu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wiemy, że ciało marszałka spoczywa w Krypcie Srebrnych Dzwonów na Wawelu, serce przy matce na Cmentarzu Wileńskim Rossa. Do dzisiaj pozostaje otwarte pytanie – gdzie jest jego mózg? Czy zaginął bezpowrotnie?

Mieczysław Sopek

(Autor jest dr.n. med. – byłym wieloletnim pracownikiem Zakładu Anatomii Prawidłowej AMB).

Magdalena Szkuclarek

(Autorka jest dr n. med. – asystentem w Zakładzie Anatomii Prawidłowej AMB.)



Więcej o prof. Maksymilianie Rose napiszemy w następnym numerze „Medyka Białostockiego”

Podziękowanie

Pani Iwonie Borysowicz-Postawce serdecznie dziękuję za udostępnienie spisanych wspomnień jej ojca dr. Jerzego Borysowicza i przekazanie albumu z unikatowymi zdjęciami z Wilna, a Pani Bożenie Borysowicz za przekazane mi materiały z polskiej prasy wileńskiej.

Autorzy

Kult Marszałka



Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki wypowiedział przed laty słowa: *Historia ludzkości jest tworzona i kształtowana przez ludzi szczególnych. To oni byli przywódcami narodów, budowniczymi tego, co nasza ludzkość zdobyła i osiągnęła.* Kiedy analizujemy dzieje poszczególnych narodów teza ta potwierdza się na każdym kroku.

Przemiany dziejowe i postęp to zwykle wyniki koncepcji, pracy i energii ludzi wielkich. To oni tworzyli punkty zwrotne w historii narodów i ludzkości. Gdy wspominamy ich nazwiska odżywa natychmiast w naszym umyśle obraz całej epoki, na której wyciskali stygmat swego geniuszu, swej indywidualności. Spotykamy się z nimi już wśród ludów starożytnego Wschodu, Hellady i Rzymu, są zjawiskiem powszechnym wśród wszystkich narodów świata.

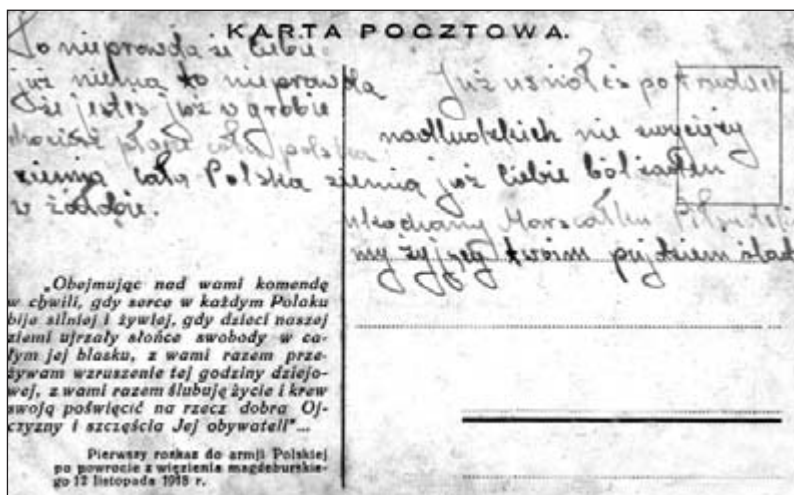
W Polsce kult wielkich ludzi, kult bohaterów narodowych dał o sobie znać dopiero po utracie niepodległości, gdy zaczęliśmy głębiej patrzeć w siebie i poza siebie. Wielcy królowie, hetmani, poeci otoczeni w pamięci narodu nimbem chwały i sławy, stali się przedmiotem kultu narodowego, rozjaśniając pokoleniom porozbiorowym ponurą rzeczywistość.

W tej sytuacji zrozumiały powinien być dla każdego Polaka kult otaczający Józefa Piłsudskiego. To w Jego postaci, tak jak w soczewce zbiegły się najbardziej szlachetne pierwiastki narodu polskiego. Jest czczony za to, że od najmłodszych lat do końca swego życia walczył nieustraszenie o wolną, niepodległą Polskę. I walce tej, zdawało się beznadziejnej, ofiarował lata młodości i dojrzałego wieku. Kiedy znaczna większość narodu zwątpiła w możliwość odrodzenia wolnej, niepodległej Polski, on działał nieprzerwanie wierząc do końca, że Ojczyzna powstanie z popiołów.

Pięć lat Syberii, Dziesiąty Pawilon i wieczna tułaczka internowania nie ostudziły Jego poświęcenia dla sprawy. *Z romantyzmem celów łączył pozytywizm w wykonaniu* wierząc, że tylko czyn orężny w odpowiednim czasie rzucony na stos może dać wolność Ojczyźnie. Organizował Pierwszą Kadrową, zbierał wokół siebie chłopców, którzy w bezgranicznym zaufaniu powierzyli Mu swój los. Kiedy przyszła godzina czynu poprowadził ich w bój o Polskę, stanął na ich czele, by przywrócić Ojczyźnie zabraną jej przemocą i gwałtem niepodległość. W hołdzie narodu, za to co uczynił dla Polski i Niepodległości, ten Więzień Magdeburga został wyniesiony na stanowisko pierwszego Naczelnika Odrodzonego Państwa Polskiego.

Pod Jego wodzą zaczął się mozolny trud wznoszenia zrębów odrodzonego państwa. Towarzyszyły temu rozprężenie i anarchia oraz wszechobecna wrogość. Trud uwieńczony zwycięstwem nad Wisłą w pamiętnych dniach sierpniowych 1920 roku, uwolnił Polskę od najazdu hord bolszewickich, uratował Europę przed ich zalewem.

Tak dużo uczyniwszy dla Ojczyzny, Marszałek nie uznał swojej roli za ukończoną. Po zdobyciu niepodległości i wytyczeniu granic wziął na swoje barki odpowiedzialność za rozwój niepodległego państwa. Jego założeniem było utrwalenie wśród narodu przekonania, że Polska wtedy będzie naprawdę silna i wielka, gdy wyzwoli się z wad i błędów, które były wcześniej źródłem jej upadku, gdy będzie w pełni zjednoczona w duchu i czynie. Nie zbaczał ani na krok z wytkniętej drogi, nie pozwalał sobie na kompromisy i ustępstwa. Celem ostatecznym Marszałka było stworzenie niezależnego Państwa Polskiego, wielkiego duchem swych obywateli, zjednoczonego wewnątrz, silnego jednością myśli i działania.



Jeden z oponentów, w czasach przedwojennych, Ignacy Daszyński stwierdził przed laty: *Gdyby który z ludzi powszednich zdobył się na cząstkę zaledwie tych czynów historycznej miary co Piłsudski, opiewanoby go za życia jako bohatera narodowego.* Stwierdzenie takie jest oczywistym przejawem uznania wielkości Józefa Piłsudskiego i ogromu jego zasług dla naszej Ojczyzny. Stanowi również proste wytłumaczenie kultu Marszałka, architekta i budowniczego niepodległości Polski.

Podobnie jak Tadeusz Kościuszko, Marszałek wyrósł *nie z soli, ani roli ale z tego co Go boli* – z trudu niepodległościowego rodzącej się Polski. Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek, a kto tyle uczynił, zasłużył sobie na cześć i pamięć w narodzie. Pamiętajmy o tym snując refleksje o przeszłości i teraźniejszości Rzeczypospolitej i Polaków.

Wojciech Sobaniec

(Autor jest prof. dr. hab. kierownikiem Kliniki Neurologii i Rehabilitacji Dziecięcej AMB).

LISTOPADOWE

refleksje

Urządząca w Warszawie Rada Regencyjna przekazała 11 listopada 1918 roku Józefowi Piłsudskiemu naczelné dowództwo wojsk polskich. Już 14 listopada ta sama Rada powierzyła Piłsudskiemu władzę cywilną. W trzy dni później 17 listopada Józef Piłsudski powołał centralny rząd polski.

Wskrzyszono działalność starych polskich uniwersytetów w Krakowie, Lwowie, Warszawie i Wilnie oraz Politechniki Lwowskiej i Politechniki Warszawskiej. Powołano Uniwersytet w Poznaniu, Katolicki Uniwersytet Lubelski i kilka innych mniej prestiżowych uczelni.

Mieszkańcom ziemi białostockiej najbliższy był Uniwersytet Wileński. Wielu białostoczian studiowało w nim w okresie Rzeczypospolitej Czworga Narodów, Polski rozbiorowej i Polski Odrodzonej. Podwoje Uniwersytetu wileńskiego stały zawsze otwarte przed ludźmi różnych narodów i wyznań: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Łotyszów.

Uroczystość wskrzeszenia Uniwersyte-tu Wileńskiego odbyła się 11 października 1919 roku. Wśród obecnych był Józef Piłsudski i syn Adama Mickiewicza – Władysław Mickiewicz. Uniwersytetowi nadano imię jego założyciela – Stefana Batorego. W przemówieniach przebijała miłość do bratnich narodów – Litwy, Rusi Białej i Rusi Czerwonej od wieków z Polską związanych, a w czasie wspólnej niewoli poróżnionych przez złośliwych zaborców. Narodów zamieszkujących ziemię wschodnie od Dźwiny do Karpat i podzielone przez rzekę Prypeć na dwie połacie – północną, białą od brzoź i południową czerwoną od żyznej ziemi.

Józef Piłsudski – mowa wygłoszona na uroczystości wskrzeszenia USB

Przeżywając razem z wami uroczyste i podniosłe chwile, wspominałem, pewnie, jak i wielu z was, o dobrych i złych czasach, których świadkami były te święte i drogie dla nas mury. Przedewszystkiem przychodziła mi na pamięć ta świetna epoka, gdy w tych właśnie murach najlepsze umysły rozpalily ogień tak jasny, że był drogowskazem w przeciagu długich lat, i wytworzyły ciepło tak wielkie, że grzało ono w nieszczęściu wiele i

wiele pokoleń. Życie wtedy musiało być bujne, szczęśliwe, a nam, późniejszym pokoleniom, wydawało się, jak sen czarowny, sen pelen cudów, sen nie chcący przebudzenia. Były to czasy wielkiej i sławnej uczelni Wileńskiej z epoki Mickiewicza. Lecz mury te widziały i gorsze czasy, czasy nieszczęścia, w których i ja byłem małym, nieznacznym aktorem. Była to wówczas także uczelnia, lecz na niej widniał groźny napis: vae victis! – biada zwyciężonym! – a tymi zwyciężonymi były małe dzieci lub podrastający młodzieńcy. Wszystko, co dla duszy dziecięcej było święte i drogie, podane było pogardzie i poniżeniu. Szlachetniejsze i wrażliwsze dusze wplatano w kola męki, słabsze wyrzucano na śmietniko upodlenia. Na wspomnienie tych czasów nam, wychowankom tej szkoły, na usta cisną się przekleństwa.

Losy tych murów są podobne losom tej ziemi kresowej. Wszystkie narody, wszystkie państwa mają swoje kresy. Nieszczęśliwy i zmienny jest los grodów i siół kresowych! Gdy wichur się zrywa, wstrząsa posadami przedewszystkiem ich budowli. Gdy chmura się zbierze, ostry grad siecze przedewszystkiem właśnie ziem kresowych łany. Gdy grzmia pioruny, tu przedewszystkiem w wieżycy i domy uderzają.

Tam, w dalekiem środowisku rodzimej kultury, być może ludziom słońce jeszcze wschodzi, gdy tu już noc czarna panuje. A gdy wreszcie losy nakażą, by zima śnieżnym całunem naród cały przykryła, – tu mrozy i zimna są najśrodsze, tu właśnie oddech ludzi ona tamuje i krew w żyłach ścina. Nieszczęśliwe ziemie kresowe! A jednak głębokie jest w tem szczęście! I nie szczęście z dumy wielkiego cierpienia i wielkiej ofiary, i nie szczęście ze zwiększonej rozkoszy mocowania się z dolą i zwyciężenia własnymi siłami losu, – lecz głębokie szczęście, rzewne i ciche, nawet dziecięco naiwne, płynące z wiary w idealne pierwiastki własnej kultury.

Ten kwiat cudowny wśród wycia wichury i śnieżnej zameci przywołaliśmy do życia własnem tchnieniem, wydawanem ze schorzałej piersi. Zgrabialiemi palcy, skostniałemi członkami, ostatnim wysiłkiem woli osłaniałiśmy go, chroniąc od zimna, chcąc, by kwitł i ducha podniecał w najcięższych chwilach

losu. Cóż z tego, że nań pluto i chciano wdeptać w błoto, gdy święta wiara tem cudowniejszym go czyniła, że był otoczony męczeńską aureolą.

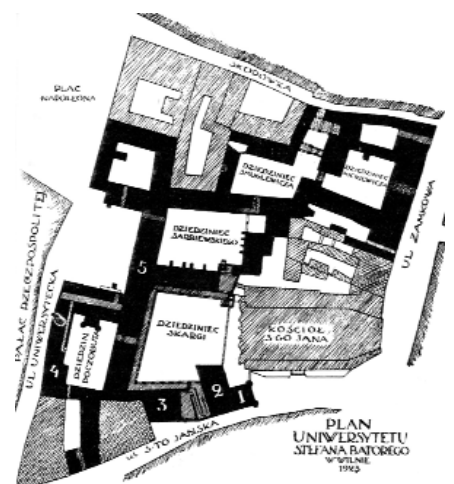
Dlatego też, gdy danem było i nam stanąć w chwale zwycięstwa, gdy burza nad temi murami już się przeniosła, – śpieszyłem, by dźwignąć dla tej wiary świątynię, by dać znak widomy jej potęgi i siły. Śpieszyłem, choć tu jeszcze dochodzą echa nieprzebrzmiałej burzy, choć chmury jeszcze przykrywają niebo.

Niechże więc ta Wszechnica, którą dziś tu otwieram, zgodnie z tradycją tej ziemi nie ziele nigdy jadłem nienawiści, niech nie kroczy nigdy drogami, które dla nas, Polaków, tak ciężkimi były. Niech krzepi jasnowiedztwem wiedzy, potęgą myśli twórczej, umiejętną i skrzętną pracą naukowego rzemiosła.

Wasza Magnificencjo, Panie Rektorze, w Twoje ręce w imieniu narodu polskiego oddaję tę wskrzeszoną uczelnię. Przyjmij berło władania, łańcuch, o godności świadczący, i pierścień, znaczący twe śluby z Wszechnicą.

Quod felix, faustum, fortunatumque sit.

Uniwersytet Wileński zajmuje kompleks gmachów między ulicami: Zamkową, Świętojańską, Uniwersytecką, placem Napoleona i Skopówką. W roku 1919 uniwersytet otrzymał szereg dalszych budynków: Kolegium Czartoryskiego przy ul. Zakrętowej 15, Instytut Jędrzeja Śniadeckiego przy ul. Nowodróżdzkiej 22, budynki folwarku na Zakręcie, budynki pobernardyńskie, gmach dawnej Intendentury przy ul. Objazdowej.



Plan sytuacyjny gmachów głównych i dziedzińców USB:

- 1 – Dzwonnica Świętojańska,
- 2 – Aula Kolumnowa,
- 3 – Sala Śniadeckich,
- 4 – Rektorat i Dziekanat,
- 5 – Biblioteka Uniwersytecka.

Próby utworzenia w Białymstoku wyższej uczelni podjęto dopiero po zakończeniu II wojny światowej. Sprzyjająca okolicz- →

ność nadarzyła się nagle i nieoczekiwanie, kiedy to 30 kwietnia 1945 roku na białostocki dworzec kolejowy przybył „repatriacyjny transport uniwersytecki” z Wilna. Zbieg niekorzystnych czynników, zła wola władz niechętnych przybyzszom z Wilna, brak społecznej świadomości co do potrzeby utworzenia uniwersytetu, trudne warunki lokalowe, uniemożliwiły utworzenie uniwersytetu. „Transport” podążył dalej, do Torunia, dał początek Uniwersytetowi im. Mikołaja Kopernika. Większość profesorów Wydziału Lekarskiego USB udała się na wybrzeże i dała początek Akademii Medycznej w Gdańsku. W Białymstoku zatrzymali się profesorowie i asystenci Wydziału Teologicznego USB i tu 8 maja 1945 roku wydział rozpoczął swoją działalność. Część profesorów i absolwentów USB rozproszyła się po innych ośrodkach akademickich. Wielu absolwentów Wydziału Lekarskiego USB bądź to zamieszkało w Białymstoku, bądź też przybyło tu po utworzeniu w 1950 roku Akademii Medycznej.

Absolwentem Uniwersytetu Wileńskiego był założyciel AMB – Jerzy Sztachelski i jej pierwszy dyrektor administracyjny – Bronisław Jodkowski. Nauczycielami akademickimi AMB byli dawni studenci, absolwenci lub pracownicy USB: Aniela Irena Ambroszkiewicz, Jakub Chlebowski, Adam Dowgird, Waclaw Dzieszo, Władysław Giedroń, Zygmunt Kanigowski, Stanisław Kołosowski, Roman Kordecki, Dominik Kossakowski, Aleksander Krawczuk, Stanisław Legeżyński, Helena Lewińska, Józef Musiatowicz, Mieczysław Nietupski, Feliks Oleński, Eudokia Ostaszewicz, Jerzy Płatakis, Marian Poznański, Kazimierz Rodziejewicz, Henryk Rożkowski, Witold Sławiński, Witold Stasiewicz, Bogdan Szymborski, Józef Tarmas, Antoni Tołłoczko, Marian Tulczyński, Zofia Umiastowska, Stanisław Wittek, Bogusław Zaleski, Włodzimierz Zankiewicz, Antoni Żuk.

Jest ciekawostką, że wymieniony tutaj Witold Sławiński był członkiem Komisji Organizacyjno-Rewindykacyjnej powołanej do odbudowy Uniwersytetu Wileńskiego.

Tadeusz Konwicky – o dawnej Litwie

W tamtych czasach Litwa była nieokreślonym obszarem geograficznym, niejasną formacją etniczną, niezdefiniowaną strefą kulturową. W tamtych czasach Litwa była gwałtowną letnią burzą, albo może raczej wnętrzem wygasającego wulkanu, który umierał w ostatnich spazmach. Litwa była wtedy wielkim zachodzącym słońcem, co zostawia po sobie smugi dziwnie pięknych światła i resztkę dogasającej tęczy.

Dożywała ona swoich dni w polszczyźnie wileńskiej, w pieśniach białoruskich, w

przysłowiach litewskich, trwała jeszcze w gnącym obyczaju, w wybujałych chorobliwie na chwilę charakterach, w dobroci ludzkiej. Odchodziła w niepamięć przez krajobraz pełen szalonych kwiatów, słodkich zapachów ziół, budzących tajemniczą groźbę borów. Odchodziła w niepamięć przez splątania rzewnego smutku, przez jeziora melancholii, przez meandryczne rzeki przeczuć.

Jacy byli ci ludzie o zlitewszonych nazwiskach i spolszczonych duszach, o spolszczonych nazwiskach i zlitewszonych duszach? Jacy byli ludzie modlący się do Jehowy i do prawosławnego Boga, lękający się Dewajtisa i Perkuna, Czorta i Lucyfera, Zadzuszek i Sądnego Dnia? Jacy byli potomkowie Tatarów, Polaków, Żydów, Litwinów, Białorusinów, Karaimów i wszystkich innych ludzi, których prześladowania, krzywda, nieszczęścia, zagnały w północne puszcze i rojsty?

Rozbiegli się po świecie. Żyją samotnie w pojedynkę. Zapomnieli mowy, która była mową kilku języków. I tylko czasem zahuczy w cudzym mieście wiatr litewski i odezwie się czasem w sercu normalności jako wabiąca nienormalność.

Umiera ziemia guślarzy i wróżbitów, umiera ziemia proroków i mesjaszy, co już nie zdążyli zbawić świata. W tym wiecznym pochodzie zwycięskiej cywilizacji w niewiadomą przyszłość, zdeptano łąki, spalono bory, otruto embriony geniuszu.

Kochajmy tyle Litwy, ile jej zostało.

Czesław Stanisław Bartnik

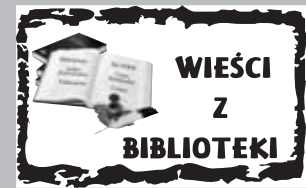
– święto narodowe Rosji

Współczesna Rosja uczyniła narodowym świętem nie dzień rewolucji październikowej, lecz rocznicę (4 listopada) zakończenia wielkiej smuty, co wiąże się ostatecznie z wypędzeniem w roku 1612 Polaków z Moskwy w sytuacji walk o tron carski. „Smuta” po rosyjsku znaczy „zamęt, zaburzenia, rozruchy”. Niektórzy nazywają ów okres także „smutnoje wriemia”, czyli czas zamieszek 1605-1612 wywołanych walkami wewnętrznymi oraz interwencją wojsk polskich i szwedzkich...

Nam to święto bynajmniej nie ubliża, wręcz przeciwnie, nawet imponuje, że tak przepiękna Rosja, która potem tak długo nas gnębiła, była kiedyś, choć krótko, w zasięgu władzy królów polskich. Pokazuje wszakże, że Polska winna była raczej pospieszyć Moskwie z prawdziwą pomocą, a nie z narzucaniem swej władzy, chociaż były to czasy innych pojęć. W każdym razie święto rocznicy wielkiej smuty jest nauką mądrości historycznej i dla nas i nie przeszkadza nam dziś widzieć w Rosji naszej rodzonej siostry.

Krzysztof Worowski

Więcej czasopism zagranicznych



Bardzo dziękuję kierownikom jednostek AMB za odpowiedź na moje pismo w sprawie prenumeraty czasopism zagranicznych na rok 2006. Do biblioteki wpłynęło 29 pism, w których do zaprenumerowania na przyszły rok wymieniono 103 tytuły czasopism.

Po gruntownej analizie okazało się, że do 60 tytułów biblioteka posiada dostęp online lub ma wersję drukowaną. Do kilkunastu innych tytułów można łatwo dotrzeć poprzez system doc@med.

Wśród propozycji prenumeraty nowych czasopism wskazano wiele bardzo drogiego tytułów Springera. Po przeanalizowaniu kosztów podjęłam decyzję o przystąpieniu do konsorcjum Springera i przejściu wyłącznie na wersję online. W ramach konsorcjum otrzymamy dostęp do ponad 470 tytułów czasopism tego wydawcy, wśród których znajdują się wszystkie dotychczas prenumerowane oraz nowe tytuły wskazane przez kierowników jednostek.

W 2006 r. planuję udział w konsorcjum Wileya, które również daje możliwość utrzymania wyłącznie wersji online i zapewnia każdemu członkowi korzystanie z zasobów całego konsorcjum. Nasza biblioteka wnosi do konsorcjum pięć tytułów, od których naliczana jest opłata, a zyskujemy dostęp do około stu tytułów.

W przyszłym roku zbiory biblioteki zostaną wzbogacone o osiem nowych tytułów w wersji drukowanej.

Z braku środków nie uda się zaprenumerować wszystkich tytułów zaproponowanych przez kierowników. Z tego samego powodu zmuszona jestem zrezygnować z wersji online do czasopism Lippincott Williams & Wilkins. Utrzymana zostanie wyłącznie wersja drukowana czasopism tego wydawcy.

W grudniu na stronie internetowej zostanie opublikowany wykaz czasopism zaprenumerowanych na 2006 rok.

Danuta Dąbrowska-Charytoniuk
p.o. Dyrektor Biblioteki Głównej AMB



Rośliny
W
Biblii



Sen

Ilona Lengiewicz

Nabuchodonozora

W 721 roku p.n.e. pada Samaria. Zdobywa ją asyryjski satrapa Sargon II i zwyczajem swojego klanu wysiedla górne warstwy narodu do Niniwy (obecnie północny Irak). Na opustoszałe obszary wysyła mieszaninę różnych plemion z Arabii i Babilonii. I tak oto ginie bez wieści dziesięć pokoleń Jakubowych, a ich miejsce zajmuje konglomerat ludów, który później objęto wspólną nazwą Samarytan.

Judea przetrwa jeszcze 135 lat. W 586 roku p.n.e. Jerozolimę ujarzmił Babilończyk Nabuchodonozor Wielki, wyrzynając w pień mieszkańców i pałac miasto. Potem przystępuje do wysiedlenia ludności; na tych, którzy przetrwają morderczy marsz przez pustynię, czekają obozy pracy w Babilonie (obecnie południowy Irak). Z czasem, po śmierci Nabuchodonozora, przywrócono Judejczykom wolność osobistą. Na obrzeżach stolicy zakładają oni własne gminy, żyjąc z uprawy winorośli i warzyw. Spora ilość wygnańców zajmuje się handlem i dorabia znacznych majątków. Niektórzy zostają potentatami finansowymi, a są i tacy, którzy zdobywają wybitne stanowiska w administracji i na królewskim dworze.

Babilon był „pępkiem” ówczesnego świata, dwumilionową metropolią obwiedzioną pasem murów obronnych tak szerokim, że można było po nich jeździć czterokonnym zaprzęgiem. Centrum miasta zajmowały cudowne ogrody królowej Semiramidy, założone na tarasach wspartych o ceglane łuki. Dla wysiedleńców przetrzuconych z prowincjonalnej Judei w sam wir wielkiego świata, Babilon był wstrząsającym przeżyciem. Niejeden szybko się wynaradawiał, ale większość trawiła choroba wygnania. Często siadali społem nad Eufратem, modlili się i optakiwali zniszczone

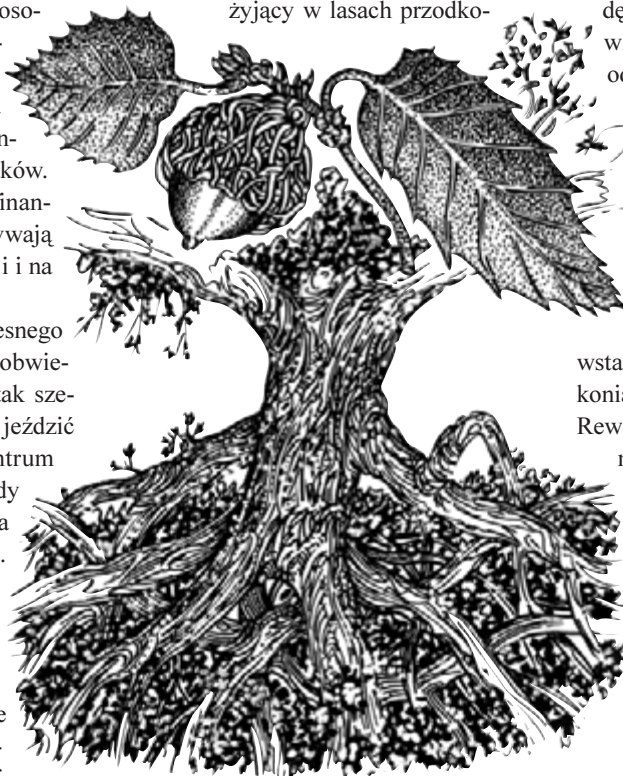
Jeruzalem. Jak zawsze Bóg czuwał nad narodem wybranym i w czasach babilońskiej niewoli zesłał im proroka Daniela. Daniel, jak kiedyś Mojżesz, dbał o czystość wiary, jednoczył współwyznawców i umacniał w nich nadzieję na powrót do Ziemi Obiecanej. Cieszył się estymą tak wielką, że nawet Nabuchodonozor liczył się z jego zdaniem. Pewnego dnia poprosił o wytłumaczenie powracającego natrętnie snu. A śnił mu się dąb, którego korona sięgała nieba, w gałęziach żyło mnóstwo ptactwa, a u stóp pnia mieszkaly zwierzęta. Wtem z nieba zstąpił anioł, rozrząbał drzewo na pół, rozprędził ptaki i bestie, korzenie zaś przytroczył łańcuchami do ziemi. Prorok, nie bacząc na konsekwencje, tak wytłumaczył ów sen: Panie, dąb to twoja władza i ty sam. Podobnie jak on, zostaniesz unicestwiony i postradasz rozum. Będziesz mieszkał jak zwierzę i jadł trawę jak woły. A los korzeni oznacza, że przywrócone ci będzie królestwo, gdy zrozumiesz, że władza pochodzi od Boga i musi być mądrze wykorzystana. Tak istotnie się stało. Nabuchodonozor dotknięty obłędem żył w poniżeniu odtrącony przez ludzi. Po siedmiu latach wrócił do zdrowia, ponownie zasiadł na tronie i rządził sprawiedliwie.

Od „początku świata” dąb był drzewem świętym. Źródłem tej świętości upatruje się nie tylko w imponujących rozmiarach, czy siłach żywotnych tego drzewa, lecz przede wszystkim w jego mocy przyciągania piorunów i dawania ognia. Nasi żyjący w lasach przodko-

wie zauważyli, że pioruny najczęściej biją w dęby, a zmysł praktyczny podszeptał im sposób krzesania ognia przy pomocy dwóch kawałków drewna naładowanych „piorunem”. Pierwsze osady Słowian zakładano właśnie w świetlistych dąbrowach. Ciekawym „darem” dębów są ich galasy, czyli patologiczne narośla na gałęziach, będące wynikiem obrony drzew przed jajeczkami owadów zwanych galasownikami. Galasy zawierają aż 80% wysokojakościowych garbników, a te były jednymi z pierwszych dostępnych człowiekowi środków bakteriobójczych.

Na Bliskim Wschodzie rosły nieznanne Europejczykom gatunki dębów: dąb baskański (*Quercus aegilopsis*) i dąb taboriski (*Quercus thaburensis*). Ten drugi pokrywał rozległe obszary Równiny Nadmorskiej. Większość drzew wycięto przed wiekami, ale pojedyncze, samotne okazy spotkać można w Galilei i na Wzgórzach Golan. Jak widać na rysunku, różni się od „naszych” dębów wyglądem liści i postrzępionymi miseczkami, w których tkwią orzechy zwane popularnie żołędziami. Żołędzie bliskowschodnich gatunków są jadalne i niegdyś były pokarmem ubogiej ludności.

Mówi się, że dąb, nawet po ścięciu, zachowuje ciepło i aromat, po prostu – żyje. Dlatego tak lubimy dębowe stoły i podłogi z dębowych desek. W dębowych beczkach dojrzewa najszlachetniejszy trunek świata – koniak. Cały sekret koniaku ukryty jest w słojach starego, dębowego drewna. Do takich beczek wlewa się winogronowy spirytus, a dąb oddaje mu słońce i zapach. Pierwszy koniak powstaje po trzech latach i ten ma 3 gwiazdki (znawcy twierdzą, że nadaje się tylko do sosów). Gwiazdkowe koniaki są najmłodsze, podłego gatunku. Najlepsze dojrzewają dwadzieścia, do stu lat. Ale naprawdę dłużej, bo trzeba dodać wiek dębu, z którego powstała beczka (obecnie najprzedniejsze koniaki otrzymuje się z beczek z okresu Rewolucji Francuskiej). Czy trunek jest młody, czy stary poznaje się po smaku. Młody ma smak ostry, chropowaty. Stary – miękki, aksamitny, ciepły. Koneserzy ułożyli listę najlepszych firm produkujących dobry koniak. Jest krótka: Hennessy, Martell, Courvoisier, Camus, Remy Martin i Baron Otard.



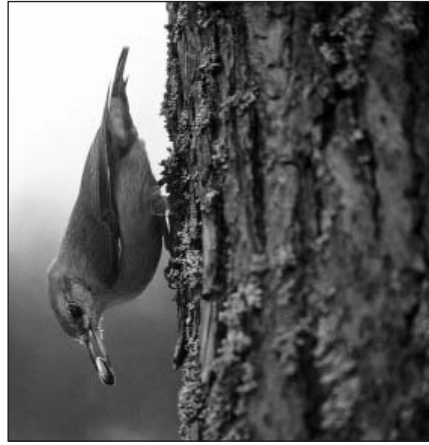
Rys. Jerzy Lengiewicz

(Autorka jest dr. – adiunktem w Zakładzie Biologii Wydziału Farmaceutycznego AMB).



Dariusz Lebensztejn

Kowalik akrobata



„Małe opowieści” w galerii na Bojarach



Dziuple drzew zamieszkują nie tylko duże ptaki np. dzięcioły, gągoły czy puszczyki. Są też dziuplaki znacznie mniejsze np. kowalik – ptak wielkości wróbla, ważący niespełna 25 gramów. Wyglądem nieco przypomina małego dzięcioła – ma dosyć długi dziób i krótki ogon. Wierzch ciała kowalika jest niebieskoszary, boki mniej lub bardziej brązowe, a od dzioba przez oko aż do szyi biegnie charakterystyczna czarna przepaska.

Kowalik jest średnio licznym ptakiem lęgowym w naszym kraju. Zamieszkuje głównie nizinne lasy liściaste i mieszane (do 750 metrów n.p.m.), gniazduje także w miejskich parkach, chociaż nie zbyt licznie. Jest ptakiem owadożernym. Pokarmu szuka przemieszczając się szybko po pniach drzew, a dzięki mocnemu dziobowi może dobierać się do owadów i ich larw ukrytych głęboko pod korą drzew. Jesienią i zimą nie gardzi również nasionami drzew i krzewów.

Kowalik jest prawdziwym akrobatą. Jako jedyny ptak w Polsce potrafi chodzić po pniach drzew głową w dół. Należy dodać, że przy poruszaniu się wzdłuż pnia zarówno w górę jak i w dół kowaliki korzystają wyłącznie z nóg i ostrych pazurków. Tą charakterystyczną pozycję przybierają również podczas rozłupywania nasion. Umieszczają nasiona np. słonecznika w szczelinie kory drzewa, zwisają głową w dół i silnymi uderzeniami ostrego dzioba wydobywają ich zawartość.

Kowaliki najczęściej gniazdują w dziuplach wykutych przez dzięcioły duże.



Dziupla zajęta przez kowalika jest bardzo charakterystyczna. Zbyt obszerny otwór wlotowy ptak zwęża, poprzez częściowe jego zamurowanie, dostosowując go w ten sposób do rozmiarów własnego ciała. W tym celu przykleja odpowiednio grubą warstwę gliny lub łu rzecznego, która po wyschnięciu tworzy twardą pokrywę. Ten murarski talent ptaka zabezpiecza dziupłę przed konkurującymi z kowalikiem o miejsce gniazdowania innymi dziuplakami. Bardzo rzadko gniazda tego ptaka spotykane są w norach w ziemi lub w szczelinach skalnych. Kazyistyką jest opis gniazda tego ptaka umieszczonego... w nieużywanej lufie armaty w jednej z jednostek wojskowych w okolicy Gorzowa Wielkopolskiego.

Kowaliki raz w roku w kwietniu składają od 4 do 13 białych jaj z rdzawoczerwonymi lub czerwono-fioletowymi plamkami, które wysiaduje samica przez 13-17 dni. Pisklęta pozostają w gnieździe przez około 3 tygodnie, podczas których są karmione przez rodziców.

Kowaliki są ptakami osiadłymi, czasami jednak obserwuje się migracje populacji północnych, które przemieszczają się na południe i południowy wschód nawet na odległość do 500 kilometrów. W zimie często odwiedzają karmniki przepłaszając swoim „dzięciolim” dziobem wszystkie gatunki sikor i wróbli.

Towarzystwa Ornitologiczne w Niemczech wybrały kowalika ptakiem roku 2006 uzasadniając, że wybór tego gatunku jest głosem w sprawie ochrony lasów liściastych i mieszanych, typowych dla tego ptaka, a zarazem stanowiących pierwotny biotop leśny charakterystyczny dla nizinnej Europy Środkowej. Ochrona tego gatunku i jego biotopu może przyczynić się również do ochrony innych gatunków zwierząt oraz roślin występujących w tej części naszego kontynentu.

(Autor jest dr. hab. – adiunktem w III Klinice Chorób Dzieci AMB).

Ivayla Živkova-Świtajewska pochodzi z Bułgarii. Do Polski przyjechała w listopadzie, dziewięć lat temu. Z miłości do Andrzeja! Dzisiaj ta miłość „rozrosła się” o jeszcze jednego mężczyznę. Na imię mu Marcin, ma osiem lat. To jemu artystka zadedykowała swoją ostatnią wystawę „Małe opowieści”, której otwarcie odbyło się 11 listopada w Galerii „Stare Bojary”.

– *Ta galeria powstała trochę z przekory. Parę lat temu w ramach koncepcji tzw. uporządkowania, przeprojektowania Bojar otrzymałem nakaz rozbiórki domu. Trudno było mi się na to zgodzić, tym bardziej że ten stary drewniany dom był dla mnie pełen wspomnień. Należał kiedyś do moich rodziców. Postanowiłem go odremontować. Trwało to prawie cztery lata. Dzisiaj mieści się tu Fundacja na Rzecz Dzieci Specjalnej Troski „Nadzieja i Szansa”. W tym miejscu spotykają się również harcerze. Pomyślałem wreszcie, że to miejsce może służyć także spotkaniu różnych kultur. Iva, która prezentuje tu dzisiaj swoje prace udowadnia nam, że można żyć i realizować swoje marzenia w każdym punkcie na świecie – powiedział pomysłodawca galerii, prof. Wojciech Sołbaniec*

Ivayla Živkova-Świtajewska, jak sama mówi, żyje w trzech światach: bułgarskim, polskim i swoim. Malarstwo fascynowało ją od zawsze. Pamięta, że jeszcze w przedszkolu rodzice prowadzili ją na prywatne lekcje rysunku. W późniejszym okresie nie mniejszym zainteresowaniem obdarzyła tkaninę artystyczną. Jej unikatowe kreacje prezentowano na pokazach mody w Bułgarii, a część z nich trafiła nawet do produkcji. Miała wtedy 19 lat.

– *Kiedy zmienia się kraj, zmienia się nie tylko wszystko wokół nas, ale zmieniamy się przede wszystkim my. Trzeba się w tym odnaleźć. Polskę przyjąłem jako przeznaczenie. W Polsce się rozmalowałam – mówi z uśmiechem artystka.*

Tęsknota za Bułgarią, za bliskimi zawowocowała cyklem „Mój dom”, na który złożyły się obrazy przedstawiające postaci świętych, budowle sakralne.

– Nawet nie zauważyłem co się dzieje z żoną, nie sądziłem, że te pierwsze lata były dla niej tak ciężkie – przyznaje się Andrzej Świtajewski, mąż artystki, który dodaje, że to żona rozbudziła w nim wrażliwość na sztukę.

Na twarzy malarki cały czas gości uśmiech, emanuje z niej ciepło i szczerość. Tylko na płótnach będących autoportretami, a zatytułowanymi „Portret kobiety” można dostrzec tą drugą Iwę, zadaną i nostalgiczną

Od 1999 roku swoją twórczość Ivayla Živkova-Świtajewska prezentowała ponad dwadzieścia razy na wystawach indywidualnych, zbiorowych i pokazach mody. Jej prace znajdują się w zbiorach



Watykanu, w Muzeum Północno-Mazowieckim w Łomży oraz w prywatnych kolekcjach w Polsce, Belgii, Bułgarii, Norwegii, Szwajcarii i w USA.

Pomysł na najnowszy cykl prac „Małe opowieści” powstał 1 stycznia 2004 roku. – Wróciliśmy nad ranem z sylwestra od znajomych. Byłam taka radosna, tak pozytywnie nastawiona, że postanowiłam sobie, że cały ten rok będę malowała. Pierwszy stycznia spędziłam z pędzlem w rękę. Malowałam pierwszy obraz i już wiedziałam, że będzie nowa wystawa. Na tych płótnach opowiadam o naszym życiu, o naszych marzeniach, radościach i smutkach. Ten ludzik na obrazach to może być każdy z nas, to może być ja, ale możesz być też ty – mówi Živkova-Świtajewska.

Danuta Ślósarska



Z Senatu

POSIEDZENIE Z DNIA
18 PAŹDZIERNIKA 2005R.

Senatorowie zaopiniowali pozytywnie wniosek Dziekana Wydziału Lekarskiego o mianowanie na stanowisko profesora nadzwyczajnego:

- prof. dr. hab. Jacka Niklińskiego w Klinice Chirurgii Klatki Piersiowej AMB,
- prof. dr. hab. Janinę Piotrowską-Jastrzębską w Klinice Pediatrii i Zaburzeń Rozwoju Dzieci i Młodzieży AMB.

Podjęto uchwały w sprawach:

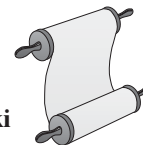
- wysokości opłat za studia w roku akademickim 2005/2006,
- powołania Uczelnianej Komisji Rekrutacyjnej na rok akademicki 2006 / 2007,
- wyrażenia zgody na przystąpienie AMB do realizacji projektu „Szkolenie z języka angielskiego dla pracowników sektora medycznego”,
- zaopiniowania wniosku Kanclerza w sprawie przekształcenia jednostek organizacyjnych Kwestury AMB.

Senat powołał stałe Komisje na kadencję 2005-2008

- ds. aparatury
- ds. dydaktyki i wychowania
- dyscyplinarną ds. studentów
- odwoławczą dyscyplinarną ds. studentów
- ds. klinicznych
- ds. kształcenia podyplomowego
- ds. nauki
- ds. nagród odznaczeń i wyróżnień
- ds. współpracy z zagranicą
- ds. wydawnictw

Krystyna Dyszkiewicz
Kierownik Rektoratu

Nominacje



Prezydent RP
Aleksander Kwaśniewski
nadał
tytuł profesora
dr. hab.
Waldemarowi Kuczyńskiemu.



Waldemar Kuczyński urodził się 15 lutego 1955 roku w Białymstoku. Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Białymstoku ukończył w roku 1980. W tymże roku podjął pracę w Klinice Ginekologii AMB na stanowisku asystenta. W roku 1984 uzyskał pierwszy, a w roku 1988 drugi stopień specjalizacji z zakresu położnictwa i chorób kobiecych. Stopień doktora nauk medycznych uzyskał w roku 1988. Rok później został awansowany na stanowisko adiunkta. W roku 1998r. na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Białymstoku uzyskał stopień doktora habilitowanego przedstawiając dorobek naukowy oraz pracę habilitacyjną „Wybór metody leczenia niepłodnych mężczyzn technikami wspomaganego rozrodu”.

Całkowity dorobek naukowy prof. dr. hab. Waldemara Kuczyńskiego obejmuje 71 prac oryginalnych, 12 rozdziałów w podręcznikach, 25 artykułów poglądowych, opracowania monograficzne, dwa wydania książkowe pod redakcją oraz 110 doniesień zjazdowych.

Od początku aktywności naukowej prof. Waldemar Kuczyński skoncentrował się na tematyce związanej z rozrodem człowieka. W jego dorobku zwracają uwagę pionierskie w Polsce prace dotyczące: leczenia niepłodności metodą pozaustrojowego zapłodnienia (IVF-ET) oraz mikroiniekcji plemnika do cytoplazmy oocytów (ICSI), leczenia zaburzeń rozrodu u niepełnosprawnych oraz chorych na

HIV a także kriokonserwacji komórek rozrodczych człowieka. Wyniki tych badań były wielokrotnie nagradzane, m.in. zespołową nagrodą I-go stopnia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej oraz dwukrotnie zespołowymi nagrodami I-go stopnia Rektora AMB.

Profesor Waldemar Kuczyński odbył liczne szkolenia w renomowanych ośrodkach w Europie, USA i w Polsce. Uczestniczył też w wielu zjazdach naukowych – krajowych i zagranicznych. Wielokrotnie był zapraszany jako wykładowca oraz przewodniczący sesji naukowych na kongresy krajowe, europejskie i światowe. Jest recenzentem prac nadsyłanych do redakcji „Ginekologia Polska”, „Polish Journal of Gynecological Investigations”, „European Journal of Obstetrics & Gynecology and Reproductive Biology”, jak również recenzentem grantów KBN i grantów uczelnianych.

Od 2001 roku prof. Kuczyński pełni funkcję Przewodniczącego Sekcji Płodności i Niepłodności Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Za jego kadencji Sekcja Płodności i Niepłodności PTG stała się organizacją rozpoznawaną w Europie i na świecie, a jej raporty są akceptowane i publikowane przez organizacje europejskie (The European IVF-monitoring programme (EIM) for the European Society of Human Reproduction and Embryology) oraz światowe (International Working Group for Registers on Assisted Reproduction (IWGROAR) for the International Federation of Fertility Societies (IFFS)). Profesor Waldemar Kuczyński współpracuje z ICMART (The International Committee on the Monitoring of ART) w zakresie opracowania standardów leczenia i monitorowania niepłodności. Prowadzi też intensywne działania zmierzające do opracowania zasad i wdrożenia „Centralnego Rejestru Krajowego” niepłodności. Reprezentuje Polskę w międzynarodowych organizacjach afiliujących jak: ESHRE (European Society of Human Reproduction and Embryology) oraz IFFS (International Federation of Fertility Societies), biorąc aktywny udział w zebraniach, konferencjach i kongresach tych towarzystw. Jest ekspertem ministerstwa zdrowia w zakresie leczenia niepłodności technikami wspomaganego rozrodu, krioprezewacji tkanek i narządów oraz imple-

mentacji dyrektywy UE w tym zakresie.

Profesor pełni funkcję wiceprzewodniczącego Oddziału Białostockiego Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego oraz członka Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. W ciągu swej pracy był głównym organizatorem sympozjów krajowych (Symposium SPIN Białystok-2001, Symposium SPIN Białowieża-2004) oraz kongresów o zasięgu międzynarodowym i światowym (XXVI Kongres PTG Mikołajki 1996, 10th World Congress of Gynecological Endocrinology Wrocław 2002). Uczestniczył w pracach komitetów organizacyjnych licznych konferencji oraz kongresów naukowych.

Profesor dr hab. Waldemar Kuczyński jest żonaty, ma troje dzieci.



Przeczytane

Szefem Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku po raz kolejny został profesor Jan Stasiewicz. O tą zaszczytną funkcję rywalizował z nim ordynator interny w augustowskim szpitalu – Sławomir Kosidło, jednak otrzymał o 35 głosów mniej. Nowy stary szef Okręgowej Izby Lekarskiej stwierdził po wyborze, że będzie kontynuował swoje zadania: „Chodzi przede wszystkim o dokończenie budowy centrum szkoleniowego dla lekarzy w Turośni”. Z celów nieco bardziej ambitnych wymienił walkę z biurokracją, którą zamierza stoczyć wspólnie z nowym ministrem zdrowia, bowiem: „Profesor Zbigniew Religa jako chirurg jest właściwym adresatem tych postulatów”.

Ogłoszenie wyników profesor skomentował krótko: „Głupio byłoby przegrać”.

Kontrkandydatowi pewnie też było głupio, ale przegrał.



Dziecięcy Szpital Kliniczny przy mierza się do wprowadzenia w przyszłym roku cyfrowego systemu badań obrazowych oraz nowego rezonansu magnetycznego. Ministerstwo Zdrowia przekazało na ten cel 1,6 miliona złotych. Poza tym właśnie kończą się prace przy ociepleniu szpitala, na które przeznaczono fundusze uzyskane ze

Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego. Pieniądze te pozwolą, między innymi, na wymianę okien w budynku.

Zmiany, zmiany, zmiany. Wszystko się przyda, zwłaszcza okna – śnieg pada, mrozy coraz większe i jak tak dalej pójdzie pacjenci nawet bez kontaktu z ptakami zaczną na grype chorować.



Szpitala obiegła wieść, że jeśli pacjent, który trafi na oddział intensywnej terapii nie przeżyje pierwszych dwunastu godzin, Narodowy Fundusz Zdrowia nie zapłaci za jego leczenie. Jak mówi dr hab. Andrzej Siemiątkowski, kierownik Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Akademii Medycznej w Białymstoku, podlaski konsultant ds. anestezjologii i intensywnej terapii: „To przecież te pierwsze dwanaście godzin pobytu na oddziale kosztuje najwięcej. Choremu podaje się krew, leki, wykonuje operacje, poddaje wszelkiej diagnostyce. Koszty mogą wynosić nawet kilkanaście tysięcy złotych. Takich chorych w ciągu miesiąca może być kilku”.

Dyrektor Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego w Białymstoku, Bogusław Poniąkowski ocenia sytuację następująco: „To, że Narodowy Fundusz Zdrowia nie chce płacić za pierwsze godziny pobytu pacjenta na OIT to jawna zachęta do naciągania. Można przecież podtrzymywać akcję ratunkową tak długo, aby pacjent przeżył ten czas”.

Ba, można przecież podtrzymywać ją tak długo, że pacjent całkiem przeżyje i wyzdrowieje. To by była heca!



Nowy minister zdrowia stwierdził, że budowa nowego, sprawnego i spełniającego swe funkcje systemu opieki zdrowotnej potrwa siedem lat. Jego filarem ma być tzw. koszyk świadczeń medycznych gwarantowanych przez państwo oraz ustawa o ustroju opieki zdrowotnej – „konstytucja zdrowia”, jak mówi prof. Religa.

Kto z nas pamięta dziś, co działo się siedem lat temu i kto był wtedy ministrem zdrowia. Kto chciałby teraz rozpamiętywać, co ówczesny minister naobiecował i czego nie dotrzy-

mał.

I o to właśnie chodzi. aha



Młody Medyk



W TYM NUMERZE CZYTAJ:

Otwarte wrota

str. 38

Bezdomność raz do roku

str. 40

Wszyscy ludzie prezydenta

str. 41

Rozmowa niedokończona

str. 43

Okrzyki prawdy

str. 44

Immatrykulacja po naszymu

str. 45

Nadeszły śniegi i mrozy. Czas zatem odkurzyć zimowe wierzchnie przyodziewki, przeprosić się z tłustymi kremami i mazidłami innych kategorii.

Na listopadowo-grudniowe wieczory polecić należałoby jakąś gorącą literaturę, a „Młody Medyk”, nie da się ukryć, do tej kategorii zalicza się bez dwóch zdań. Na początek radzę zapoznać się z krótkimi charakterystykami władz studenckich, aby wiedzieć do kogo zwracać się w sytuacjach nagłych. Za udostępnienie popiersi naszych wodzów dzięki wielkie należą się SAFF-owi. Polecam również rozmowę dotyczącą działalności samorządu, a przygotowaną przez naszą redakcyjną koleżankę Marię Stepaniuk.

Dla mieszkańców akademików przygotowaliśmy artykuł o przeprowadzanym w DS.2 remoncie – „Wszystko do remontu”. Nie godzi się nie poświęcić kilku minut reportażom o Schodkach i Otrzęsinach, do przeczytania których serdecznie namawiam.

Nie da się ukryć, że redakcji MM skracają się telomery. To już szósty rok, a czas biegnie nieubłaganie. Apelujemy, więc po raz kolejny o to, abyście postanowili ujawnić swoje literackie talenty na łamach jedynej w swoim rodzaju gazety akademickiej (e-mail: mlodymedyk@poczta.onet.pl).

Odkręć kaloryfer na piątkę, bo zapowiada się niezła zawierucha, a jutro poniedziałek (blee).

Rachei Szambora



Otwarta Akademia

EX TEMPORE ... EX TEMPORE ... EX TEMPORE

Po raz pierwszy w środowy rano 26 października o godzinie 8.00 drzwi pałacu Branickich otworzyły się przed przyszłymi adeptami zawodów medycznych. Trzydziestoosobowa grupa młodzieży z XI Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku jako pierwsza weszła do gmachu uczelni. Odwiedzającym przygotowano ciekawy program ponad godzinnego pobytu na terenie kampusu Akademii.

Decyzją prorektora ds. studenckich, prof. Andrzeja Dąbrowskiego „Dzień Otwarty” w uczelni został zorganizowany przez Dział Spraw Studenckich AMB,



głównie przez działające w jego ramach Biuro Rekrutacji i Biuro Karier. Podobne wydarzenie miało miejsce w ubiegłym roku 23 kwietnia na Wydziale Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia AMB. Licealiści rozpoczynali „wycieczkę” od różnych atrakcji, kryjących się w zabytkowym pałacu Branickich, siedzibie władz uczelni. W holu pałacu, uczniów szkół średnich witali studenci różnych kierunków. Aby przyciągnąć uwagę zwiedzających studenci przygotowali w tym celu tzw. stoiska informacyjne, zaopatrzone w specyficzne eksponaty obrazujące dany zawód. Na przykład farmaceuci, za zgodą Samodzielnej Pracowni Historii Medycyny i Farmacji AMB, dostarczyli zabytkową, apteczną wagę szalkową oraz historyczną księgę farmaceutyczną (farmakoopę) z 1937 roku. Stolik analityki medycznej ozdabiały różnej wielkości przyrządy laboratoryjne. Stoisku kierunku lekarskiego powagi dodawały pękate książki z zakresu chorób wewnętrznych, pediatrii, far-



makologii i psychiatrii. Interesujące eksponaty zaprezentowali także przyszli ratownicy medyczni, fizjoterapeuci, położne i dietetycy.

Przy każdym stoisku odpowiedzi na pytania udzielali studenci danego kierunku, ohotniczo pomagający organizatorom „Dnia Otwartego”. Szczegółowe dane o każdym z kierunków studiów były też dostępne w formie ulotek informacyjnych.

Kolejny element prezentacji uczelni to wizyta w Bibliotece Głównej, którą uczniowie mogli odwiedzić dzięki uprzejmości pani Dyrektor. Z Biblioteki droga wiodła do Auli Magna i Rektoratu AMB.

Podczas wizyty w Auli zwiedzający mieli możliwość wysłuchania wykładu o barwnej historii pałacu, która jak się okazało była słabo znana wśród młodzieży, mimo że większość gości „Dnia Otwartego” stanowili rdzenni białostoczanie.

Dzięki kierownikom poszczególnych jednostek administracyjnych uczelni, do dyspozycji zwiedzających były: Zakład Anatomii Prawidłowej Człowieka, Zakład Pielęgniarstwa Ogólnego, Zakład Stomatologii Zachowawczej, Zakład Patologii Ogólnej i Doświadczalnej, Zakład Patomorfologii Lekarskiej, Samodzielna Pracownia Historii Medycyny i Farmacji.

Licealiści mogli również wejść na wykłady prowadzone w Sali Kolumnowej i Sali wykładowej w Collegium Universum (popularnej „Beczce”).

Po zwiedzeniu wnętrza pałacu licealiści zostali podzieleni na piętnastoosobowe grupy i wraz z przydzielonym studentem-opiekunem udawali się do wybranych wcześniej zakładów naukowych. Tam mieli możliwość przyjrzenia się pracy zakładu, zgromadzonych w nim materiałów, a nawet mogli uczestniczyć w prezentacji, którą w tym celu przygotowali pracownicy nauki.

Zainteresowanie wydarzeniem przerosło oczekiwania organizatorów. Oprócz młodzieży z zaproszonych szkół średnich, z wizyty w Akademii skorzystało także wiele niezorganizowanych w grupy osób. Nie spodzianką był przyjazd licealistów z Płocka, którzy będąc na wycieczce w Białymstoku, wykorzystali czas, by obejrzeć z bliska naszą Akademię.

W czasie „Dnia Otwartego” uczelnię odwiedziło około czterystu uczniów. Wszyscy zwiedzający proszeni byli przez opiekunów grup o wypełnienie ankiety, w której oceniali lokalizację, bazę dydaktyczną, ofertę edukacyjną Akademii Medycznej w Białymstoku, wskazywali kierunki studiów, na które zamierzają się ubiegać. Wypowiadali się również na temat zasadności organizowania dni otwartych na wyższych uczelniach oraz oceniali, podając krótkie uzasadnienie, organizację „Dnia Otwartego”.

Opinie ankietowanych dotyczące uczelni były bardzo dobre. Pozytywnie oceniono również organizatorów, o czym świadczą wypowiedzi niektórych licealistów:



Wszystko do remontu



Uczennica VI LO w Białymstoku: „Dni Otwarte” są potrzebne, ponieważ można dowiedzieć się jak wyglądają wykłady, obejrzeć sale wykładowe, zasięgnąć informacji o organizacji pracy uczelni oraz zapoznać się z zasadami rekrutacji. Jeśli chodzi o organizację opieka była miła, studenci z chęcią odpowiadali na wszystkie zadane pytania. Chciałabym studiować na tej uczelni.

Uczennica II LO im. Anny z Sapiehów Jabłonskiej w Białymstoku: Było bardzo ciekawie. Odwiedziłam wiele sal i zachęciło mnie to do ubiegania się o przyjęcie na białostocką akademię.

Uczeń IV LO im. Cypriana Kamila Norwida w Białymstoku: Ciekawe zajęcia z historii Białegostoku. Rady studentów, ich uwagi na temat kierunków studiów są bardzo cenne.

Uczeń III LO w Białymstoku: „Dni Otwarte” są potrzebne, ponieważ powinno się prezentować swoje uczelnie „na żywo”, a nie tylko w katalogach. Bardzo mi się podobała organizacja, ciekawe wykłady i prezentacje oraz piękny budynek.

Sprawny przebieg imprezy organizatorzy zawdzięczają pomocy studentów ze wszystkich kierunków na uczelni, zaangażowaniu organizacji studenckich działających w AMB: Samorządu Studentów, Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Studentów IFMSA-Poland, Studenckiej Sekcji PTFarm „Młoda Farmacja”, Studenckiemu Towarzystwu Naukowemu.

Mamy nadzieję, że w następnych latach akademickich promowanie naszej uczelni poprzez organizowanie „Dni Otwartych” stanie się tradycją.

Paweł Niegierewicz
Biuro Karier AMB
Ewa Kropiwnicka
Biuro Rekrutacji AMB

Ponad rok temu na łamach „Młodego Medyka” został opublikowany list studenta – mieszkańca DS.2. W bardzo naturalistyczny sposób opisał on warunki panujące w tamtejszym przybytku. Ten, kto był w DS.2 lub tam mieszka, zgodzi się ze stwierdzeniem, że „ładnie nie jest”. Umeblowanie sprzed wielu epok, dawno niemalowane ściany, oplakany stan łazienek.

W tym samym numerze zamieszczony został komentarz prorektora ds. studenckich AMB prof. Andrzeja Dąbrowskiego. Przyznał on, że „jest źle”, a skoro tak jest, to trzeba remontować. Mamy, więc „kwity” na Profesora, który zobowiązał się do tego, że część dochodów AMB z opłat studentów zagranicznych zostanie przekazana na remonty akademika.

Cóż zatem się robi? Ano robi się coś. Jak wynika z zestawienia kosztów, na remont domów studenckich w tym roku przeznaczono 700 tys. PLN. Pięknie! Jest to bowiem o prawie 250 tys. PLN więcej niż rok temu i 350 tys. PLN więcej niż dwa lata temu. Jak zapewnia profesor Dąbrowski, wzrost funduszy jest wynikiem, między innymi, tego co AMB zarobiła na „zagranicznych”.

Całość kosztów 700 tys. PLN 100%	przeznaczono na DS.2 ~90%	IX i X piętro ok. 43%
	przeznaczono na DS.1 ~ 10%	II piętro ok. 36%

Cóż zatem zamierza się doprowadzić do stanu używalności publicznej? Sprawozdanie z planowanych prac remontowych na 2005 rok wyszczególnia m.in. pełen remont dziesiątego piętra w DS2, wykonanie robót elektrycznych i sanitarnych na dziewiątym piętrze tego samego przybytku. Dodatkowo na drugim piętrze, oprócz prac adaptujących piętro do wyższych standardów, ma być wymieniona instalacja przeciwpożarowa, a na ósmym piętrze odnowione zostaną sufity i ściany korytarza. Pokoje studenckie będą remontowane sukcesywnie w ciągu roku. Wątpliwości budzi tylko kosztorys owych inwestycji na przyszłość. Jak się okazuje, na remont dwóch pięter przeznaczono ok. 42% środków, a na adaptację drugiego piętra (jednego piętra) na potrzeby studentów zagranicznych 35% tychże. Prorektor nie ukrywa jednak, że mieszkania „zagraniczne” będą miały wyższy standard, ale i studenci z dalekich krajów płacą więcej. I nawet jeśli przytłacza nas ta nierówność społeczna, to przypominam, że nastroje niezadowolenia ze statusu ekonomicznego są już dzisiaj w złym guście. Pieniądz rządzi, a kto ma więcej, ten więcej może. Nie ma się, więc co oszukiwać, że wrócą czasy równości, a wszyscy zamieszkają w „domach ze szkła”.

EX TEMPORE ... EX TEMPORE ... EX TEMPORE



Hałas, że aż pięknie!

Nie mieszając się jednak w problemy tegich głów spójrzmy na sytuację w akademiku DS.2. Od rana do wieczora robotnicy dają upust atawizmom wiertniczym. Hałas, że aż pięknie! Profesor Dąbrowski ubolewa nad tym, że remontu nie udało rozpocząć się wcześniej. Prace adaptacyjne potrwają do 20 grudnia br. Można zatem, życzyć wytrwałości mieszkańcom niższych pięter i jednocześnie zazdrościć, że po świętach, jak Bozia da, wrócą do odmienionego akademika.

Trzeba przyznać, że prof. Dąbrowski obietnicy dotrzymał. Remont wre, a kwity na prorektorat, póki co, się nie przydadzą.



Okiem mieszkańca

Choć hałas jest niemiłosierny mieszkańcy akademika przy ul. Waszyngtona z nieukrywaną radością witali robotników. Przewodniczący Rady Mieszkańców, Jarosław Madziarski również wyraził swoje nieukrywane zadowolenie na tę okolicz-

ność. Nie wierzy jednak, że remont skończy się w grudniu, no i obawia się także, że cena pokoi na świeżutkich piętrach może podskoczyć. Pożyjemy, zobaczymy?!

Nieprzyjemny smrodek

Jeszcze jedna sprawa w akademikach budzi niesmak. Gdy zapytać mieszkańców z „Waszyngtona” o studentów zagranicznych, od razu na twarzach pytanych rysuje się sarkastyczny uśmiech. Dowiedzieć się można takich ciekawych rzeczy jak chociażby to, że w ubiegłym roku z trzeciego piętra o podwyższonym standardzie wyprowadzili się wszyscy. Została tylko jedna osoba! Studentom zagranicznym brakowało m. in. wyposażenia w szuflce i nie do przyjęcia był dla nich brak telewizora w kuchni. Zmywaniem naczyń zajmowały się sprzątaczkę, bowiem brudne naczynia na trzecim piętrze pozostawiano na korytarzu.

Profesor Dąbrowski nie może zrozumieć skąd wzięła się wrogość polskich studentów wobec „zagranicznych”. Bardzo zależy mu na tym, żeby wreszcie te dwa obozy zaczęły ze sobą rozmawiać. Panie Rektorze, języka można się nauczyć, ale znacznie trudniej jest pokonać barierę kulturową

Władza chce zgody, tymczasem buduje nową pralnię dla gości, którzy mogą zapłacić więcej. Ci sami goście nie doceniają jednak zapału władz, skarżąc się na brak suszarek. Sumując to wszystko maluje się następujący obraz: z jednej strony młodzi studenci z „ka-są”, mieszkający w super warunkach, mający wymagania niczym gwiazdy Hollywoodu, z drugiej strony studenci polscy, ledwie wiążący koniec z końcem, czekający na kilka groszy z ciągle malejącego funduszu stypendialnego. Dzieli ich nawet osobna pralnia.

Paweł Szambora

Stypendialne abc...

Jednym z zadań Samorządu Studentów AMB jest przyznawanie stypendiów: naukowych, socjalnych, mieszkaniowych, żywieniowych i sportowych. Do tej pory środki przeznaczone na ww. cele były dzielone w dowolny sposób. Większość środków dotychczas przeznaczona była na stypendia naukowe. Od 1 września 2005 roku weszła nowa Ustawa o Szkolnictwie Wyższym, która ściśle reguluje sposób przyznawania wszelkich stypendiów. Zgodnie z nową ustawą, łączne środki przeznaczone na pomoc socjalną nie mogą być niższe niż środki przeznaczone na stypendia naukowe i sportowe. Aby nie zmieniać progów średnich z ocen zmniejszyliśmy stawki stypendiów. Mieliśmy propozycję podniesienia progów przyznawania stypendiów naukowych z 4,0 na 4,2 lub 4,3. Kierując się dobrem studentów (najwięcej jest ze średnią od 4,0 do 4,29) postanowiliśmy jedynie zmniejszyć kwoty, co pozwoliło na racjonalne rozdysponowanie dostępnych środków.

Prosimy o dostarczanie brakującej dokumentacji, która umożliwi Działowi Spraw Studenckich naliczanie stypendiów socjalnych. Właściwy termin składania wniosków i wymaganej dokumentacji upłynął 31.10.2005 roku.

Jednocześnie informujemy, iż od 01.10.2005 roku zmienił się regulamin studiów. Zmiany dotyczą wielu istotnych zagadnień, w tym zasad przystępowania do egzaminów komisyjnych. W związku z tym prosimy wszystkich studentów o zapoznanie się z regulaminem, który dostępny jest na stronie internetowej www.amb.edu.pl.

Samorząd Studentów AMB

Samorząd Studentów AMB



Parlament

		<p>Marta Jakoniuk Przewodnicząca Samorządu Studentów AMB, należy do Komisji Stypendialnej i Komisji Programowej Wydziału Lekarskiego, Komisji Dyscyplinarnej ds. Studentów, Komisji ds. Dydaktyki i Wychowania; jest członkiem Senatu. Studentka V roku Wydziału Lekarskiego.</p>	
	<p>Paweł Kitlas Wiceprzewodniczący Samorządu Studentów AMB, Przewodniczący Komisji Stypendialnej Wydziału Farmaceutycznego, Należy do: Rady Programowej Wydziału Farmaceutycznego, Komisji Dyscyplinarnej oraz Rady Bibliotecznej. Student Oddziału Medycyny Laboratoryjnej.</p>	<p>Wiktor Bartnik Skarbnik Samorządu. Należy do: Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej oraz Rady Bibliotecznej. Student IV roku Wydziału Lekarskiego.</p>	
	<p>Magdalena Czaplińska Sekretarz Samorządu, Przewodnicząca Komisji Wyborczej. Studentka III roku Wydziału Pielęgniarstwa.</p>	<p>Bartłomiej Markowski Członek Komisji Stypendialnej Wydziału Lekarskiego oraz Komisji Dyscyplinarnej. Student II roku Wydziału Lekarskiego.</p>	
	<p>Dariusz Jakoniuk Członek Komisji Programowej Wydziału Lekarskiego, zajmuje się organizacjami studenckimi, członek Rady Mieszkańców DS1, "opiekuje" się pracownią internetową w DS1. Student VI roku Wydziału Lekarskiego oraz II roku Oddziału Stomatologii.</p>	<p>Przemysław Młodożeniec Członek Komisji Stypendialnej Wydziału Lekarskiego oraz Wydziału Pielęgniarstwa, Komisji Programowej Wydziału Pielęgniarstwa oraz Komisji Dyscyplinarnej. Student II roku na Wydziału Lekarskiego oraz I roku kierunku Fizjoterapia.</p>	
	<p>Agnieszka Rogińska Członek Komisji Wyborczej. Studentka III roku Wydziału Farmaceutycznego.</p>	<p>Magdalena Chilicka Przewodnicząca Komisji Stypendialnej Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia, członek Komisji Programowej Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia oraz Komisji Wyborczej. Studentka III roku Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia na kierunku Położnictwo.</p>	

JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...



JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...

Zarząd

	<p>Ewa Kucikowicz Członek Komisji Stypendialnej, Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej, Rady Programowej Wydziału Farmaceutycznego oraz Komisji Wyborczej. Studentka II roku Uzupełniających Studiów Magisterskich Analizy Medycznej.</p>	<p>Katarzyna Jarzębiak Członek Senatu, Komisji ds. Dydaktyki i Wychowania. Studentka II roku Uzupełniających Studiów Magisterskich Analizy Medycznej.</p>	
	<p>Joanna Juchniewicz Członek Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej oraz Rady Wydziału Farmaceutycznego. Studentka II roku Uzupełniających Studiów Magisterskich Analizy Medycznej.</p>	<p>Beata Mojsak Członek Rady Wydziału Lekarskiego. Studentka V roku Wydziału Lekarskiego.</p>	
	<p>Piotr Gembicki Grafik Samorządu AMB. Student V roku Wydziału Lekarskiego.</p>	<p>Jarosław Madziarski Przewodniczący Rady Mieszkańców DS. 2 członek Studenckiej Komisji Stypendialnej Wydziału Lekarskiego. Student IV roku Oddziału Stomatologii Wydziału Lekarskiego.</p>	

ww.ocen.pl

Student jest zły, jeśli się nie wygada. Portal WWW.ocen.pl oferuje nam terapię psychoanalityczną, która ma na celu wyrzucenie z siebie wszelkich negatywnych uczuć, jakie towarzyszą nam podczas zajęć. Stwarza on również możliwość przychylnego wypowiedzenia się o „wykładowcach – oprawcach”. Portal Ocen.pl tworzy swój własny ranking uczelni, wydziałów i kadry naukowej w całej Polsce. Wystarczy w pasku adresów przeglądarki, do której mamy dostęp, wpisać WWW.ocen.pl i już możemy dać upust naszym uczuciom. Po bezproblemowym zalogowaniu się i aktywacji pozostaje nam już tylko ocenianie. Do archiwów portalu możemy dodać i ocenić wykładowcę lub asystenta, i pozostawić po sobie elektroniczny ślad dla potomnych. Każdego, którego poddajemy naszej obdukcji oceniamy w skali 6-stopniowej. Tak więc stawiamy kropeczki w rubrykach pod wdzięcznymi tytułami – sprawiedliwość, przydatność i jakość zajęć, uroda i łatwość zaliczenia. System wyliczy nam sumaryczną średnią ocen. Jakież to proste i piękne, nieprawdaż? Prawdą!

Ranking uczelni i wydziałów...

...ano też pięknie, tyle tylko, że nie znajdziecie na nim AMB. Dlaczego? Bowiem aby dołączyć do takich wielkoludów jak chociażby Wydział Filologiczny UwB, trzeba co najmniej 30-stu Waszych ocen. Nie ma się więc co zastanawiać kochani moi, w końcu my też jesteśmy oceniani niemalże codziennie i to bez matczyngo miłosierdzia. Jak do tej pory oceniono już 324 uczelnie i 776 wydziałów. Stan zmienia się z godziny na godzinę.

Co z tym teraz począć?

WWW.ocen.pl prowadzi rankingi tworzone przez studentów i dla studentów. Im więcej ocen tym bardziej wiarygodny ranking. Nikt wcześniej nie pokusił się o ocenę uczelni z perspektywy prostego studenta, siedzącego w środkowym rzędzie wielkiej sali wykładowej. Dzisiaj to Wy możecie oceniać, możecie stworzyć własną bazę danych tych, których lubicie i podziwiacie oraz tych, do których pałacie szatańską nienawiścią. Co nowego jeszcze? Ano, każdy może dodać coś od siebie. Nie ma to jak twórczość własna. Wszakże wszelkie komentarze są moderowane, bo jak tu nie moderować i nie cenzurować literatury studenckiej. Niemniej jednak, myślę, że wielu z nas przydadzą się niektóre wskazówki, zanim jeszcze pojawimy się na ćwiczeniach. Wystarczy tylko zacytować jeden z wpisów:

„Miałam z tym Panem zajęcia, bardzo miło wspominać...bardzo mądry i przyjemny facet...gdyby był młodszy...hmm, kto to wie?”

Paweł Szambora

Wywiad z Martą Jakoniuk przewodniczącą Samorządu Studentów AMB



Młody Medyk: *Zechcesz może wytłumaczyć wszystkim czytelnikom jaka jest różnica pomiędzy Parlamentem Studentów a Samorządem Studentów?*

Marta Jakoniuk: Samorząd składa się z Zarządu i Parlamentu. Parlament jest wybierany w wyborach powszechnych i tajnych. W skład Parlamentu wchodzi 10 osób. Każdy wydział ma swojego przedstawiciela w Parlamencie. Zarząd natomiast jest powoływany przez Parlament. Do Zarządu wchodzi osoby dowolnie przez nas wybrane, te które chcą z nami współpracować, mają pomysły, chcą działać.

MM: Czym zajmuje się Samorząd?

MJ: Samorząd zajmuje się integracją środowiska studenckiego. Jest głównym i oficjalnym przedstawicielem studentów naszej uczelni. W bardzo szerokim pojęciu dba o interesy studentów; od spraw stypendiów po wszelkie sprawy naukowe, komisje biblioteczne, dyscyplinarne. Zajmuje się również organizowaniem imprez, takich jak np. „Juwenalia”, „Medykalia”, czy chociażby ostatnie „Otrzęsiny”.

MM: *Z jakimi problemami mogą się do was zgłaszać studenci? W czym możecie im pomóc?*

MJ: Praktycznie we wszystkich konfliktach jakie mają miejsce na uczelni. Także w przypadku konieczności zdawania egzaminów komisyjnych, student może poprosić nas o pomoc. Wtedy ktoś z nas może być w komisji. Jesteśmy również otwarci na pomysły osób czy organizacji, które chciałyby organizować akcje, imprezy, konferencje itp. Tak naprawdę staramy się pomagać we wszystkich sprawach, które dotyczą uczelni.

MM: *Czy dobrze rozumiem, że każdy student może liczyć na wasze wsparcie?!*

MJ: Oczywiście!

MM: *A jak się Wam układa współpraca z innymi organizacjami?*

MJ: Tu dużo zależy od samej organizacji i chęci współpracy. Bardzo dobrze układa nam się współpraca z takimi organizacjami jak: „SAFF”, „Radiosupeł”, klub „Co Nie Co”. Trochę gorzej nam idzie z „Młodą Farmacją” i „AEGEE”. Nieco lepiej współpracuje nam się z IFMSA, z którą w ubiegłym roku organizowaliśmy wspólną akcję „Wampiriada”. Naszym priorytetem jest integracja.

MM: *Tera, żeby nie było tak „cukierkowo”, z jakimi problemami boryka się Samorząd?*

MJ: Generalnie mamy mało osób do pracy, dysponujemy też ograniczonym czasem, bo taki urok mają te studia. Wszystko, czego dokonujemy, robimy w wolnych chwilach niejako „po godzinach”. Nasze problemy dotyczą spraw technicznych. Nie mamy też zbyt dużego zasobu finansowego.

MM: *Jakie są wasze plany na najbliższy rok akademicki?*

MJ: Chcielibyśmy wysunąć projekt indywidualnego toku studiów na kierunku Położnictwo i Zdrowie Publiczne. Ponadto będziemy pracowali nad bieżącymi problemami oraz imprezami. W planach mamy również bal charytatywny dla studentów. Chcemy rozwiązać problemy ze stypendiami. Postaramy się również rozwiązać problem praktyk Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia. Będziemy zawsze bronić studentów.

MM: *Gdzie ma się zgłosić student, który chce współpracować z Samorządem AMB?*

MJ: Zapraszam na zebrania do siedziby Samorządu w DS.1. Do tej pory odbywały się one we czwartki o godzinie 20.30. Jednak ze względu na częste piątkowe zaliczenia próbujemy je przenieść na środę. W naszej gablocie umieścimy stosowne zawiadomienie. Można także zgłaszać się osobiście do członków Samorządu. Teraz pewnie będą bardziej rozpoznawalni.

Serdecznie zapraszamy.

MM: *Dziękuję bardzo za rozmowę.*

Rozmawiała MMS

ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR...



Schodki do Piwniczki

Na *Schodki* zaprosiła mnie Sowa, jak zawsze zresztą. Nie ukrywam, że szedłem z duszą na ramieniu, bo po wiosennej edycji, mimo ekscytujących wakacji, jeszcze nie zdążyłem ochłonać. Wszedłem przez tzw. wejście dla VIP-ów. Przynajmniej teraz wiedziałbym jak okraść akademik i którądy uciekać. No, ale do rzeczy. Na początek niespodzianka aż dech mi zaparło. Hymn na cześć nowego prezesa, którego imienia nie będę przytaczał, bo mi nie zapłacił za reklamę. Ale jaki to był hymn? Młodzieży pamięta jeszcze „Misia” z



jego Jarzabkiem śpiewającym do szafy z wmontowanym zestawem nagrywająco – odtwarzającym?

Jeżeli chodzi o repertuar, troszkę się to zmieniło. Jak zawsze poruszano tematy ważne dla studentów, ale w wielu miejscach odsuwano naszą akademię w niebyt. Pięknie, że się tak stało – jakby to powie dział dyrektor najpopularniejszego radia w Polsce. Takie wstawki nie akademickie bardzo dobrze zrobiły imprezie. Mowa oczywiście o „Ciemnej randce”. Nie myślałem, że młodzież tak znakomicie zobrazuje życie „innych” społeczności. Tego akurat ojciec najpopularniejszego radia w Polsce by nie pochwalił, ale za to ja pochwałę. Skecz z pytaniami do dzieci również trafiony w dziesiątkę. Wydaje mi się jednak, że królową jesiennych schodków została jednogłośnie dr Ilona Lengiewicz ze swoim pseudofrancuskim chłomosomem, zagrana bez żadnej abełłacji przez Pana, że tak powiem Rydza (zbieżność z ojcem najpopularniejszego radia w Polsce jest oczywiście przypadkowa). Korona z głowy Schodkom

nie spadła po przyjęciu kilku nowych twarzy. Teraz wiadomo przynajmniej, że ktoś to będzie kontynuował.

Popijawa, jak się patrzy

Części publiczności, jak zwykle przydałby się ostry klaps na cztery litery za błazenady. Ale jest tak za każdym razem i można pokusić się o stwierdzenie, że okrzyki pijanej publiczności wpisały się niejako w tradycję kabaretu. Części z nas może się wydawać, że niektóre wyrażenia godziły w honor studenta, a niektóre zachowania mogły budzić odrazę. Nie wydaje mi się jednak, by tak było faktycznie. Serdecznie pogratulować tym, którzy odważyli się używać niecenzuralnych słów w obecności znakomitości ze świata nauki, koń z rżędem i świnią z obrozą dla tych, którzy odważyli się na pseudo-seks na pianinie. Kto poczuł odrazę, ten właśnie zobaczył swoją karykaturę z przyszłości. *Schodki*, jak zawsze zresztą pokazały,

co tak naprawdę dzieje się w świecie szpitalnym i akademickim, krzycząc w niebogłoso: „nie czarujmy się!”. Cześć, bowiem repertuaru traktowała o rzeczach, które wypląkuje się tylko przyjacielowi w kołnierzu.

Kabaret idzie własną drogą

Cieszy również fakt, że obecne ambicje i przekonania polityczne Polaków, nie wdarły się na scenę. Wszechpolskie ambicje purytańskich zachowań są obce naszym aktorom, którzy – nie da się ukryć – w moherze nie chadzają. *Schodki jesień 2005* uważam za świetne i przyznaję maksymalną ilość punktów. Nie zwracam uwagi na drobne niedociągnięcia sceniczne i na niewystarczającą pomoc mistrzowi ceremonii, Darkowi J. Jak to dobrze, że nie ma już tyranii królów, a pozostali szydzący ich błażni z rozbawionym do rozpuku ludem.

Paweł Szambora

„Otrzęsiny 2005”



Tego ranka obudziłem się zmęczony. Nie wiem, dlaczego tak było?

– *Przecież to dopiero wtorek* – pomyślałem.

Oczy mocno sklejone, podobnie jak mój umysł, ledwo widziały to, co się wokół mnie działo.

– *To chyba zmęczenie organizacją otrzęsin* – rozważałem w myślach – *zajmujemy się nimi od ponad tygodnia. Tylu zebrań w tak krótkim czasie jako Samorząd nigdy nie mieliśmy.*

Szybko zrobiłem wszystkie czynności poranne, które porządny facet wykonać musi i wyszedłem na ćwiczenia. Dzień był długi i równie nieciekawym jak chwila mojego wtorkowego przebudzenia.



Ochrona i windykacja szatniana

W Klubie „Herkulesy” zjawiłem się o godzinie 19.20. Powitało mnie dwóch „porządnie” wyglądających panów, wyciągających w moim kierunku swoje ręce.

– *Ech* – pomyślałem – *pozwolę im tym razem sprawdzić co mam w kieszeniach i plecaku.*

Drugą rzeczą, która oprócz ochrony, rozśmieszyła mnie zaraz po wejściu, była promocja dla członków Samorządu Studentów AMB. Otóż za szatnię płaciliśmy tylko złotówkę, podczas gdy pozostali studenci 2 złote. Dziękujemy. Tak swoją drogą ciekawe, ile płacili zaproszeni Profesorowie?

Kiedy zszedłem na dół przeraził mnie smutny widok członków Samorządu Studentów AMB, samotnie tańczących na parkiecie. Studentów pierwszego roku można było policzyć na palcach obu rąk. Spojrzałem na zegarek.

– *Dziewiętnasta trzydzieści, uff jeszcze wcześniej. Przecież sprzedaliśmy prawie pięćset biletów. Powinni się pojawić do dziesiątej.*

Jak powiedział kiedyś prof. Bogusław Sawicki z Zakładu Histologii i Embriologii: „Ci nasi studenci pierwszego roku to prawdziwa arystokracja”, a jak wiadomo elity lubią się spóźniać. Nie zawiodłem się. Po dziewiątej „Herkulesy” tętniły już studenckim życiem i powoli zaczęło robić się ciasno.

No i klops

Chwilę później otrzęsiny rozpoczęły się. Przewodnicząca Samorządu Studentów AMB – Marta Jakoniuk powitała wszystkich przybyłych gości oraz zgromadzonych studentów. Po raz kolejny przekonałem się, że na brać studencką zawsze można liczyć. Ta uwaga nie dotyczy kadry pedagogicznej. Z zaproszonych 28 gości przybyło tylko czworo. Wstydźcie się Panie i Panowie Profesorowie naszej Alma Mater. Jak nasi nowi studenci mają Was poznać, jak mają nabrać szacunku do Was i przedmiotów, które wykładacie skoro ich lekceważycie? Nie zawiedli jak zwykle weterani zmagających ze studentami: prof. Andrzej Dąbrowski (Prorektor ds. Studenckich, Klinika Gastroenterologii i Chorób Wewnętrznych), prof. Janusz Dzieciół (Prodziekan Wydziału Lekarskiego, Zakład Anatomii Prawidłowej Człowieka), prof. Elżbieta Skrzydlewska (Prodziekan Wydziału Farmacji i Medycyny Laboratoryjnej, Zakład Chemii Nieorganicznej i Analitycznej) oraz dr Justyna Ostrowska (Opiekun I roku Wydziału Farmacji i Medycyny Laboratoryjnej).

Zaraz po przemówieniach gości studentom pierwszego roku przedstawili się organizatorzy Otrzęsin, reprezentujący Parlament i Zarząd Samorządu Studentów AMB.

Po części oficjalnej przeszedł czas na występ Studenckiego Klubu „Co Nie Co”. Nasi „profesjonalni amatorzy” aktorzy zaprezentowali kilka numerów z zeszlórocznych Schodków: Kino, Kosmitów, Podryw oraz Lekcję anatomii.



W dalszej części tego wieczoru nie zabrakło dobrej muzyki, która jest najważniejszym punktem każdych otrzęsin. Studenci bawili się prawie do białego rana. Kiedy po godzinie drugiej rano opuszczałem „Herkulesy”, na parkiecie było nadal tłoczno.

Niezawodni

Jako współorganizator Otrzęsin w roku 2005 chciałbym podziękować wszystkim organizacjom

JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...



JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...



studentkim, które wspomagały nas w miarę swoich możliwości. Jako Samorząd szczególnie wdzięczni jesteśmy **Studenckiej Agencji Fotograficzno-Filmowej (SAFF)**, która uwieczniła wtorkowy wieczór na kliszach fotograficznych, **Studenckiemu Centrum Radiowemu Radiosupel** za wspieranie nas na antenie (95,0 MHz) oraz Klubowi „Co Nie Co” za przygotowanie i wystawienie Schodków. Ponadto dziękujemy za udostępnienie sali Klubowi „Herkulesy”. Nie możemy zapomnieć również o dobrodusznym gościu **prof. Janusza Dzieciola**, który umożliwił przyjęcie na otrzęsiny wielu studentom pierwszego roku, przekładając kolokwia z anatomii na późniejszy termin. Nisko się kłaniamy Panie Profesorze.

Zabrakło na Otrzęsinach w tym roku konkursów tradycyjnie wymyślanych i przeprowadzanych przez SCR Radiosupel. Związane to było z wewnętrzną reorganizacją w Suple. Kierownik SCR Angelika Kwitek i jej ekipa postanowili skupić się na profesjonalnej realizacji audycji radiowych (i chwala im za to), aby wspierać nas przy organizacji Otrzęsin na swoich falach radiowych.

Spełniając prośbę SAFF-u chciałbym jeszcze wspomnieć o możliwości kupienia zdjęć z wtorkowych Otrzęsin, umieszczonych na płytach CD. Dochód ze sprzedanych płyt (zabezpieczone przed kopiowaniem) będzie przeznaczony na organizację akcji „Mikołaj” w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej w Białymstoku. Szczegóły na plakatach.

A jakie są moje refleksje po imprezie? Muszę przyznać, że zauważyłem tę iskrę radości i życia w spojrzeniach studentów pierwszego roku, której chyba brakowało studentom poprzednich lat. W tym roku zabrakło gwiazd, takich jak Oddział Zamknięty (wystąpili w zeszłym roku na naszych uczelnianych otrzęsinach). Mimo to, Wy Studenci pierwszego roku przybyliście w komplecie, a ja nie zauważyłem rozczarowania na Waszych twarzach. Życzę powodzenia, bo przed Wami wiele pracy, sukcesów i porażek. Jako student VI roku kierunku lekarskiego mogę powiedzieć wam tylko tyle – warto studiować w Białymstoku.

Darek Jakoniuk

Droga redakcjo !



Z wielkim poważaniem i zainteresowaniem czytam "Medyka Białostockiego" i z niesmakiem przeczytałem artykuł a raczej statystykę rekrutacji w AMB w roku akademickim. 2005/2006 w numerze wrześniowym tej gazety.

Jestem przyszłorocznym kandydatem ze starą maturą i z moimi znajomymi z Uniwersytetu Łódzkiego mamy zamiar zdawać do AMB.

Powszechnie znana jest historia staromaturzystów z poznańskiej AM, którzy zostali potraktowani przez władze uczelni jak przysłowiowe piąte koło u wozu i zepchnięci na margines rekrutacji przez porównanie trudnego testu z nową maturą. Żywię ogromną nadzieję, że w szacownej AMB taki proceder nie będzie miał miejsca.

Swoją drogą jak zawsze patrzy się na tego typu artykuły, gdzie uczelnia decyduje o byciu albo nie byciu kandydatów pozostaje pytanie... co z tymi, którzy byli dobrzy (czytaj milimetr pod kreską) a nie dostali się... te liczby niedopuszczonych są przerażające.

Pozdrawiam całą redakcję. Oczywiście przesyłam wyrazy uznania dla naprawdę udanej i dobrze rokującej na przyszłość gazety akademickiej z prawdziwego zdarzenia ;)

Fan AMB i sp.
(e-mail do redakcji,
tekst oryginalny)



SPROSTOWANIE

W październikowym numerze Młodego Medyka podaliśmy błędnie nazwisko autorki artykułu „Pokonać demona”. Prawidłowo brzmi ono – **Joanna Barbara Łazarczyk-Kirejczyk**. Za błąd bardzo przepraszamy autorkę.

Lektury Nie-obowiązkowe... Lektury Nie-obowiązkowe...